Nr. 40 CENA 30 GR. ROK 1

STER

TYGO[illegible]DOWSKI
DLA SPRAW P[illegible]KI I KULTURY

Adres Redakcji i Administracji:
WARSZAWA
CHŁODNA 17, TEL. 257-26
skrz. poczt. 113
KONTO P. K. O. Nr. 4.043

Godziny przyjęć: codziennie prócz sobót i niedziel — Redakcji i Administracji 11—14.

Rękopisów nie zwraca się.

14 listopada 1937 WARSZAWA 10 kislaw 5698

Treść numeru:

Prof. Dr. CHAIM WEIZMANN — Rozstrzygnie siła nasza
Dr. M. KLEINBAUM — Niepodległość i wolność
Inż. A. GLIZER — Sir Arthur odchodzi
MAX WERNER — De Man — wódz socjalizmu belgijskiego
LEOPOLD HALPERN — Na zewnątrz i na wewnątrz
J. MAJUS — Przełom gospodarki światowej
LION FEUCHTWANGER — Arnold Zweig
J. BLEIBERG — „Duch aryjski" na fali 216,8...
Dr. ST. RUMELT — Czy Bałucki był Żydem?
MAURYCY SZYMEL — Czy warto żyć?
LEON BAUMBERG — Bolesław Leśmian
OLGA WOŁKOWICZ — Od Ferdynanda do Franca
STER MŁODYCH

Dr. M. KLEINBAUM

NIEPODLEGŁOŚĆ I WOLNOŚĆ

Świąteczny dzień 11-go listopada, rocznica wskrzeszenia Państwa Polskiego, jak każda rocznica każdego triumfu w życiu każdego narodu, napawa i radością i troską. A zbiorowość żydowska w Polsce wespół z całym ogółem obywateli, wespół ze wszystkimi ludami tej ziemi bierze żywy udział zarówno w radości, jak i w trosce tego uroczystego dnia.

Nie dla spełnienia formalnego obowiązku składamy to oświadczenie. Nie mamy potrzeby deklamować o związku między nami a Rzecząpospolitą, ani nie mamy zwyczaju afiszować się, jak inni, swymi uczuciami patriotycznymi. Związek ten, uczucia te uważamy za rzecz naturalną, za fakt bezsporny, za zjawisko elementarne i organiczne. Wiemy: Polacy, dotknięci zarazą antysemityzmu lub na zarazie tej robiący różne interesy, nam nie uwierzą. Na nich nam nie zależy. Ale i wśród przyjaciół znajdą się tacy, którzy sobie pomyślą (choć głośno tego nie powiedzą): „Nic dziwnego, że Żydzi są teraz antypaństwowo nastawieni, przecież tak im ostatnio źle się w Polsce dzieje". Tych przyjaciół chcemy wyprowadzić z błędu. Wzmożony ucisk i pomnożone prześladowania ostatnich czasów w niczym nie naruszyły poczucia obywatelskiego Żyda z ulicy, ani jego przywiązania do Państwa, owszem pogłębiły jeszcze i umocniły w nim świadomość obywatelską. Albowiem nigdy jeszcze rozgraniczenie pojęć Państwa od odłamu narodu większościowego nie było przez żydostwo polskie tak przyswojone, jak obecnie. To też powtarzamy: zbiorowość żydowska w Polsce bierze udział w radości i bierze udział w troskach.

Radości dnia 11-go listopada „uzasadniać" długo nie trzeba. Przed 19 laty naprawiona została wielka krzywda dziejowa Narodu Polskiego, zmartwychwstało jego państwo po wiekowej przeszło niewoli, — a w ciągu tych 19 lat Polska na polu politycznym, gospodarczym i militarnym zrobiła niepoślednie postępy. Oto wystarczający tytuł do radości.

Ale i troski są nie bylejakie. Stosunków wewnętrznych nikt w Polsce za normalne nie uważa. Jest rząd, lecz nie ma dotychczas partii rządowej, brak organizacji politycznej, któraby stanowiła podstawę i oparcie społeczne dla Rządu. Jest Sejm i Senat, ale wyszły one z wyborów, w których uczestniczyło tylko 25 proc. uprawnionych do głosu, a ponieważ wszyscy niemal posłowie i senatorowie wybrani zostali zwykłą większością, to przy braku proporcjonalności wynika że parlament z września 1935 r. reprezentuje najwyżej 15 proc. ogółu obywateli. Pozostała reszta 85 proc. pozbawiona jest przedstawicielstwa parlamentarnego. Społeczeństwo pozbawione więc jest możności kontrolowania Rządu, nie posiada platformy dla współpracy z Rządem lub dla legalnej opozycji przeciw niemu. Rząd i Parlament nie mają społeczeństwa, a Społeczeństwo nie wywiera wpływu na Rząd i na Parlament. Powstaje zagadnienie ustroju Rzplitej, rodzi się troska o jutro wewnętrznego życia państwowego Polski. Drugie zagadnienie dotyczy kierunku polskiej polityki zewnętrznej, to troska o stałe, godne i korzystne miejsce dla Polski w obecnej konstelacji międzynarodowej. Troska tym poważniejsza, że zarzewie wojny przenosi się teraz z jednego krańca ziemi na drugi i grozi wznieceniem pożogi w całym świecie.

Tymi troskami powodowani, mężowie odpowiedzialni za teraźniejsze losy Polski wysuwają przy różnych sposobnościach trzy czołowe hasła: OBRONA PAŃSTWA w najszerszym znaczeniu tego słowa, KONSOLIDACJA SPOŁECZEŃSTWA dokoła zadań obrony, i wreszcie SILNY RZĄD, któryby pewną ręką mógł prowadzić nawę państwową w ten burzliwy, niebezpieczny czas.

Poza może Stronnictwem Narodowym, które zbawienie Polski upatruje jedynie w przyjęciu jego pełnego programu i w oddaniu władzy w jego ręce, całe społeczeństwo trzy wymienione zadania potwierdza i gotowe jest wziąć na swoje barki. Postulat konsolidacji społeczeństwa dokoła zadań obrony Polski mógłby więc łatwo, rychło i doskonale być urzeczywistniony, gdyby inicjatorzy konsolidacji nie utożsamiali jej z tworzeniem nowego obozu politycznego o jednolitym programie ideowo - politycznym i o jednolitym systemie organizacyjnym. Takie pojmowanie konsolidacji społeczeństwa wyłącza a priori udział mniejszości narodowych nawet o wybitnie centropetalnej orientacji państwowej, i wyłączyło także udział polskiego świata pracy, który poza zadaniem obrony Państwa nie chce i nie może mieć z pewnymi kolami społecznymi żadnych wspólnych więzi ideowo - politycznych i organizacyjnych. Ze strony lewicy polskiej padło tedy czwarte hasło: DEMOKRATYZACJA USTROJU, do której pierwszym krokiem jest powołanie do życia uczciwie i demokratycznie wybranych ciał ustawodawczych.

Postulat ten nie jest żadną miarą przeciwstawieniem, lecz tylko uzupełnieniem owych trzech haseł sfer rządzących. Jeśli się pragnie oprzeć Obronę Polski na najszerszej podstawie społecznej, to nie znajdzie się wszak szerszej podstawy niż Sejm, wybrany w powszechnym równym, bezpośrednim, tajnym i proporcjonalnym głosowaniu, a w Sejmie takim (znając nastroje mas, można to śmiało przepowiedzieć) dokoła spraw Obrony panowałaby wzorowa ale naturalna i nieprzymuszona jednomyślność. Byłaby istotna konsolidacja dokoła centralnej idei obrony Polski. Byłaby też dyferencjacja, zdrowa zresztą i normalna, według najrozmaitszych kryteriów, ale ogólne potrzeby państwa w każdej chwili spowodowałyby integrację zróżnicowanego przedstawicielstwa społecznego. Wreszcie demokratycznie wybrany parlament nie stanowi kolizji i z trzecim hasłem — silnego rządu. Rząd, któryby dysponował zarówno siłą materialną rządów obecnych, jak i zaufaniem większości społeczeństwa, byłby najsilniejszym rządem w Europie. Demokratyzacja ustroju nie jest zatem antytezą trzech punktów programu urzędowego, lecz wstępnym warunkiem ich prawdziwego i rzetelnego ziszczenia.

Ponad to demokratyzacja ustroju oznacza rozwiązanie spokojne i bezpieczne dramatycznej problematyki wewnętrznej i zewnętrznej. Stwarza ona, najdoskonalszy ze znanych, układ wzajemnego stosunku Rządu, Parlamentu i Społeczeństwa; najdoskonalszą ze znanych, organizację życia państwowego. Wielkie kwestie sporne mogą być załatwione zgodnie z wolą większości — cóż w tym za niebezpieczeństwo dla Obrony Państwa, dla konsolidacji społeczeństwa dokoła Obrony, albo dla silnego rządu? Zgodnie z wolą większości rozstrzygnąć można ogólny kurs polityki wewnętrznej: w duchu Manifestu Rządu Lubelskiego czy w duchu Deklaracji Adama Koca (w obydwu tych dokumentach jest osobiście zaangażowany Naczelny Wódz), czy wreszcie — si licet comparare — w duchu „przewrotu narodowo - radykalnego". Zgodnie z wolą większości rozstrzygnąć można ogólny kurs polityki zewnętrznej: żubry wileńskie ciągnie aż do trójkąta Rzym — Berlin — Tokio, prosty lud wolałby czworokąt Warszawa — Paryż — Londyn — Waszyngton, urzędowi politycy prawią wciąż o neutralności — a więc jak? któremu dokumentowi dać prymat w codziennej praktyce polskiej polityki zagranicznej — sojuszowi z Francją czy paktowi z Niemcami?

Jest przecież w kraju polityczne napięcie, są tarcia i zmagania dokoła żywotnych a spornych spraw wewnętrznych i zewnętrznych, — dlaczego tych spraw nie załatwić po myśli społeczeństwa? Czy to roztropne wyjście przeszkodzi Obronie, utrudni Konsolidację, osłabi silny Rząd? Do niedawna hasło wolności politycznej uchodziło za „żydokomunę". Ale to hasło stało się coraz powszechniejsze, już przekroczyło „płoty i mury" mniejszości, lewicy polskiej, już opanowało polskie nauczycielstwo, już wtargnęło do demokratyczniejszych kół obozu rządowego, do jego elity legionowej i peowiackiej. Ostatni zjazd legionistów i peowiaków we Lwowie wyraźnie powiedział: nie chce konsolidacji z O. N .R., nie chce legendy Romana Dmowskiego, nie chce metod Młodej Polski p. Rutkowskiego z „Falangi", nie chce burd antysemickich, nie chce totalizmu, — chce natomiast Wolności. Żadną taktyką, żadnym manewrem nie uniknie się szczerej i uczciwej odpowiedzi na ten ZEW WOLNOŚCI. Można było wszystkich aż po Str. Ludowe i Zw. Naucz. Pol. potępić w czambuł jako „żydo-komunę" lub „żydo-masonerię", ale legionistów i peowiaków musi się słuchać. To są starzy żołnierze Piłsudskiego — ich jakimś takim jednym „strasznym" słowem zbyć nie można. Przez nich nie można będzie przeskoczyć. A oni także do Obrony, do Konsolidacji (bez totalizmu, bez O. N. R., bez cudzysłowu), do Rządu Silnego dodają: i — Demokracja...

Powiedzieliśmy wyżej, że zbiorowość żydowska w Polsce dzieli radość i troski ogółu obywateli. Mało tego: my podzielamy pogląd większości Narodu Polskiego na obecne zadania wewnętrzne i zewnętrzne Rzeczypospolitej. Ale część narodu polskiego wypowiedziała nam wojnę. Na różnych odcinkach prowadzą ją różne formacje polskiego wstecznictwa. Położenie moralne, położenie polityczne, położenie gospodarcze 3,5 - milionowej ludności żydowskiej nacechowane jest bezgranicznym tragizmem. Nie ma chyba w Polsce ani jednego człowieka przy zdrowych zmysłach, któryby nie rozumiał, że Żydzi tej wojny jednostronnej nie chcą. Czego więc chcemy? — Pokoju, pokoju między nami a resztą ludności w Państwie. Chcemy nie tylko równości w prawach, ale i równych obowiązków, równej odpowiedzialności. Chcemy Polski Wolnej i Sprawiedliwej, też chcemy Ją budować, też chcemy Jej bronić. Polska ma zbyt mało przyjaciół i zbyt wiele zadań, by mogła wzgardzić tą gotowością 3-ch milionów ludności miejskiej do pracy i ofiar.

Przed 4 laty, w r. 1933, kończyliśmy swój artykuł na 11-go listopada (w wychodzącej podówczas w Warszawie „Opinii") tymi oto słowy:

„W dni świąteczne, w uroczyste rocznice historyczne odrywa się człowiek od szarej rzeczywistości, unosi się myślą, ponad poziom trosk i walk codziennych, spogląda w dal, zwraca się ku perspektywie przyszłości. Pomimo całego tragizmu naszej teraźniejszości, pomimo całej zgrozy dnia dzisiejszego, wiara nasza w przyszłość nie została zachwiana. Jak niezachwiana została wiara w wielką, demokratycznie rządzoną Polskę, niepodległą i wolną — z ducha. W Polskę, która chleb i wolność da wszystkim swym obywatelom".

I dziś powtarzamy te dwa święte, a tak ze sobą sprzężone słowa: Niepodległość i Wolność. Nie masz wolności bez niepodległego bytu państwowego, ale nie sposób utrwalić ten byt niepodległy bez wolności dla wszystkich wewnątrz państwa. Wciąż — aż do pełnego jej zwycięstwa — powtarzać będziemy starą prawdę: KAŻDE PAŃSTWO POSIADA TYLKO TYLE MOCY NAZEWNĄTRZ, ILE DAJE WOLNOŚCI NAWEWNĄTRZ.

Stanowisko demokracji żydowskiej

DEKLARACJA XII ZJAZDU KRAJOWEGO ORGANIZACJI SYJONISTYCZNEJ W POLSCE 1.III.1937.

Dzieje doby współczesnej stoją wszędzie pod znakiem dramatycznej walki trzech systemów myślenia oraz rządzenia narodami i państwami: komunizmu, faszyzmu i demokracji. Naród żydowski, dążący do wolnego życia w krajach swego rozproszenia i do odbudowy własnej państwowości w historycznej ojczyźnie, nie może obojętnie się odnosić do tej walki, której wynik rozstrzygnie także o jego losie. Naród żydowski odrzucić musi stanowczo system komunistycznej dyktatury, która oznacza w praktycę zagładę żydostwa. Z całą bezwzględnością naród żydowski odrzucić też musi faszyzm we wszelkich jego postaciach i przejawach: państwo totalne utożsamia państwo z rządzącą grupą panującego narodu, a tym samym pozbawia mniejszość żydowską warunków wolnego a narodowo odrębnego życia; szowinistyczny egoizm gospodarczy systemów faszystowskich rujnuje ekonomicznie masy żydowskie, a propaganda antysemityzmu staje się najczęściej jedynym środkiem do utrzymania władzy faszyzmu nad społeczeństwem. Jedynie w warunkach rzeczywistej demokracji, której elementarnymi założeniami są równość, wolność i sprawiedliwość, możliwy jest swobodny rozwój skupień żydowskich w świecie. To też walka o demokrację jest organiczną częścią walki o byt narodu żydowskiego.

Z tych ogólnych przesłanek wychodząc, XII Zjazd potwierdza opozycyjny stosunek Organizacji Syjonistycznej w Polsce do t. zw. „sanacyjnego" regime'u. Regime ten nie zrealizował idei przewrotu majowego w ogóle, w szczególności zaś wobec ludności żydowskiej. Hasło walki z antysemityzmem, proklamowane przez pierwszego Premiera rządów Marszałka Piłsudskiego, zastąpione zostało przez hasło i praktykę politycznej, gospodarczej i kulturalnej eksterminacji ludności żydowskiej. W świetle tej ewolucji ukazuje się w całej zgrozie spustoszenie, dokonane w społeczeństwie żydowskim przez politykę żydowskich sojuszników regime'u. Mimo to resztki tej polityki nie zostały jeszcze usunięte z powierzchni życia żydowskiego. Parlament obecny, powołany na zasadzie nowej ordynacji, reprezentuje jedynie poszczególne części składowe obozu „sanacyjnego", toteż Zjazd aprobuje stanowisko C. K. o nie uczestniczeniu w parlamencie z września 1935 r. i oświadcza, że Organizacja Syjonistyczna w Polsce nie jest w obecnych ciałach ustawodawczych przez nikogo reprezentowana.

Zjazd deklaruje uroczyście, że dramatyczne przejawy kwestii żydowskiej w Polsce nie świadczą, ani o konflikcie z Państwem Polskim, ani z Narodem Polskim, lecz tylko z niektórymi polskimi odłamami politycznymi, dążącymi do utrzymania lub zdobycia władzy w Państwie przy pomocy sztucznie wywołanych tarć narodowościowych, nie wahając się nawet przed naruszeniem wewnętrznej spoistości Rzeczypospolitej. Tarcia te nie są jednak w stanie naruszyć głębokiego przywiązania obywatelskiego społeczeństwa żydowskiego do Państwa i gotowości do dalszego udziału w dziele budowy i obrony silnej Polski, opierającej swój byt na ludowładztwie, sprawiedliwości społecznej i równości wszystkich jej obywateli.

Zjazd upatruje rozwiązanie żydowsko-polskiego zagadnienia kulturalnego jedynie drogą przyznania mniejszości żydowskiej autonomii narodowo-kulturalnej. Próby zaś tworzenia getta żydowskiego w Polsce napotkają na stanowcze przeciwdziałanie wszystkimi legalnymi środkami, którymi społeczeństwo żydowskie rozporządza.

Prof. Dr, Chaim Weizmann

Rozstrzygnie — siła nasza!

Rok 1937 jest brzemienny w doniosłe dla Żydów wydarzenia. Decyzje wielkiej wagi odnośnie Palestyny i Żydowskiej Siedziby Narodowej już zapadły i wiele innych jeszcze zapadnie; a przyszłość wciąż jeszcze jest niejasna. Ale żywimy nadzieje i ufamy, że się okaże, iż rok ten rozpoczął wielki rozdział w historii naszego narodu. Rozdział, który się kiedyś uważać będzie za istotny początek autonomicznej społeczności żydowskiej w Palestynie.

Nadzieja, aby się spełniła, musi być poparta wolą. Jeśli dziś coś już jest pewne, to jedynie to, że ostatecznie my sami jesteśmy kowalami swego losu. Od nas, i to tylko od nas zależy przyszłość. A Palestyna już nam pokazała,, jak wielkie tam można osiągnąć zdobycze, gdy nam nie zbywa na silnej woli.

Największe bodaj niebezpieczeństwo — spośród wielu innych niebezpieczeństw — tkwi w tym, że obecne niepewne położenie polityczne uśpić w nas może energię i aktywizm. Nic bardziej nie zagraża naszym nadziejom. Sytuacja woła właśnie o zdwojenie energii i bezustanne wysiłki. Albowiem im prędzej, im pewniej dzieło nasze w Palestynie postępować będzie, tym większa jest pewność, że przyszłość naszego kraju odpowiadać będzie naszym dążeniom.

Najpilniejsze zadanie, jakie obecnie przed nami stoi, to wzmocnienie pracy kolonizacyjnej w kraju, i na tej pracy winniśmy w najbliższych miesiącach skupić wytężone nasze wysiłki. Tysiące chaluców w Palestynie i poza jej granicami czeka niecierpliwie możności osiedlenia się na tych terenach, które Żydowski Fundusz Narodowy już objął w posiadanie, ale możności tej brak, póki brak środków na utrzymanie nowych osiedli w pierwszym okresie ich budowy. Środków tych dostarcza Keren Hajesod, a obecne jego wpływy są niedostateczne. Tamy trzeba budować, bagna suszyć, dreny ciągnąć, a wszystko to dokonane być musi, zanim jeszcze rozpocznie się właściwą uprawę roli. Jeśli nie zostanie zapewnione hojne poparcie, rozległe obszary, choć nasze już, leżeć będą odłogiem, dzikie i bezludne. Jakkolwiek roszczenia syjonizmu na innych jeszcze zasadzają się motywach, niż na posiadaniu i odbudowie kraju, to jednak doświadczenie lat ostatnich wykazało, jak skuteczne okazują się te roszczenia, gdy istotnie oparte są na zdrowej podstawie istniejących osiedli.

W krytyczną tę chwilę każdy z nas obowiązany jest do wyjątkowego wysiłku dla poparcia funduszów narodowych. Tylko w ten sposób umożliwimy rychłe i owocne skolonizowanie każdego metra kwadratowego ziemi, znajdującej się w naszym posiadaniu.

Słyszałem, że istnieje ponoć w narodzie tendencja do zmniejszenia ofiarności, bo pocóż w obliczu ograniczonej imigracji tyle pieniędzy, na kolonizację? Nic błędniejszego! Imigracja zależy od naszej siły kolonizatorskiej, to jest od rezerwy ziemi i od funduszów, pozostających w naszym rozporządzeniu. Im większe obszary będziemy w stanie skolonizować, tym większe bywa nasze roszczenie do stale wzrastającej imigracji. I na odwrót: spadek liczby imigrantów jest niechybnym znakiem spadku naszych zasobów ziemi i pieniędzy.

Szczególnie pilne jest zadanie konsolidacji owych 19 nowych osiedli, które wzmocnione zostały w czasie rozruchów ostatniego roku. Osiedla te rozmieszczone są przeważnie po odległych prowincjach, odosobnione i narażone na najazd. Umocnić się one dadzą kosztem pół miliona z górą funtów, z których 100.000 pilnie nam trzeba.

Dla dwóch względów wymagany jest pośpiech: niezwłocznie potrzebne są środki dla poparcia nowoosiedlonych grup, a poza tym dla ułatwienia osiedlenia na roli tysięcy wyszkolonych pionierów, którzy łakną chwili, kiedy dane im będzie wyrwać się z nieznośnych warunków życiowych i wnieść swój udział do dzieła odbudowy Siedziby Narodowej w Palestynie. Ta siedziba stać się może wartościowym przyczynkiem do ulżenia niedoli narodu żydowskiego w świecie, jeśli pierwszym naszym krokiem będzie zużytkowanie wszystkiej ziemi, będącej w rękach żydowskich. Bardziej niż kiedykolwiek obecnie właśnie obowiązuje nas stary nakaz: „Dawaj dziś i dawaj szczodrze — jutro może być za późno".

WYDARZENIA I ODGŁOSY

Berlin – Warszawa – Gdańsk

Jeszcze w sierpniu b. r., w okresie rozmów polsko-niemieckich, które doprowadziły do ogłoszonej ostatnio deklaracji kanclerza *Hitlera*, pisaliśmy w formie dialogu pomiędzy Polakiem Rzeszy, a Polakiem z Macierzy:

„— Czy spodziewacie się czegoś po audiencji u kanclerza *Hitlera*, która w dziwny sposób zbiega się prawie z niedawną audiencją niemieckiego senatora *Hasbacha* u premiera *Składkowskiego?*

— Tak, spodziewamy się nowej „deklaracji“ — brzmiała odpowiedź Polaka z Rzeszy.

I deklaracja istotnie przyszła dnia 5 listopada 1937 r. Nie jest to pierwsza deklaracja polityczna kanclerza Trzeciej Rzeszy, nie jest też pierwsza i zapewne nie ostatnia w dziedzinie sytuacji mniejszości polskiej w Niemczech, tak wiele pozostawiającej do życzenia.

Same zasady deklaracji z 5. listopada są słuszne, choć nie zawsze całkowicie wystarczające. Słuszne więc jest niewątpliwie uznanie odrębności narodowej obu mniejszości narodowych oraz wypowiedzenie się przeciw wszelkim zakusom asymilacyjnym; słuszne jest zagwarantowanie prawa używania własnego języka przez mniejszości narodowe; słuszne jest również zagwarantowanie prawa zakładania przez mniejszość własnych organizacji kulturalnych i gospodarczych, choć zadziwia i niepokoi nie wymienienie organizacji *politycznych*. (Wszak Niemcy w Polsce mogą swobodnie zakładać i rozwijać swoje partie polityczne—czemuż więc nie zagwarantowano podobnego prawa Polakom w Niemczech?). Słuszne jest dalej zapewnienie prawa zakładania przez mniejszość polską szkół, instytucji religijnych i filantropijnych, słuszne podkreślenie, że w dziedzinie gospodarczej prawa mniejszości są równe prawom większości, choć w tym miejscu znowu zadziwia i niepokoi pominięcie praw politycznych (czy należy to rozumieć w tym sensie, że prawa *polityczne* Polaków w Trzeciej Rzeszy nie są nawet *formalnie* równe prawom Niemców?). Słuszne wreszcie jest podkreślenie obowiązku lojalności mniejszości wobec państwa.

Ale od deklarowania słusznych na ogół, choć nie zawsze pełnych i nie zawsze wystarczających zasad do wprowadzania ich w życie prowadzi w polityce bardzo długa droga. Cóż dopiero, gdy chodzi o polityków, którzy mało liczą się z „deklaracjami“. Czy więc i tym razem nie będzie miał racji Polak z Rzeszy z naszego sierpniowego artykułu, który tak melacholijnie przewidział, że skończy się na... nowej „deklaracji“?

Jeśli jednak deklaracja z 5. listopada 1937 r. okaże się pod tym względem wyjątkiem, to nawet wtedy nie będzie czymś nowym w dziedzinie regulowania zagadnienia narodowościowego. Przeciwnie, oznaczać będzie nawrót do dawnych liberalnych paktów o ochronie mniejszości, zawieranych na zasadzie wzajemności pomiędzy dwoma partnerami. Jej przeciwstawieniem jest bardziej doskonała zasada *powszechności*, t. j. uregulowanie i zagwarantowanie praw wszystkich mniejszości we wszystkich bez żadnego wyjątku państwach, na zasadzie powszechnego prawa mniejszościowego. A przecież jeszcze we wrześniu 1934 r. p. min. *Beck* zadeklarował się, jako zwolennik *generalizacji* międzynarodowych zobowiązań mniejszościowych? —

Ogłoszeniu deklaracji mniejszościowej towarzyszyła audiencja ambasadora *Lipskiego* u kanclerza *Hitlera*. Miała ona być zaakcentowaniem, że wzajemne uregulowanie stosunków mniejszościowych w obu państwach traktuje się, jako jeden z elementów ich stosunków w dziedzinie polityki zagranicznej. W komunikacie oficjalnym po audiencji ambasadora polskiego u kanclerza powiedziano też, że *„polsko-niemieckie stosunki nie powinny ucierpieć na sprawie gdańskiej“*.

Jest to ogromnie doniosłe stwierdzenie. Niezależna opinia publiczna w Polsce zawsze uważała, że sprawa gdańska jest najlepszym probierzem istotnej wartości stosunków polsko-niemieckich w ich nowej fazie. Dlatego stałe, systematyczne i często jaskrawe pogorszenie się sprawy gdańskiej tak silnie niepokoiło niezależną opinię publiczną wszystkich odłamów, potęgując wątpliwości wobec nowego kursu polityki ul. Wierzbowej. Wyczytawszy więc w oficjalnym komunikacie cytowane zdanie, mogliśmy i chcieliśmy je rozumieć tylko w tym sensie, że w Gdańsku zaniecha się czynienia tego wszystkiego, coby wpływało ujemnie na stosunki polsko-niemieckie.

Jak bardzo więc nas zdziwiła i zaskoczyła wręcz odwrotna interpretacja Senatu gdańskiego: „normalny rozwój sytuacji w Gdańsku, odpowiadający naturalnym potrzebom ludności, nie może zepsuć stosunków polsko-niemieckich“. Dobrze wiemy, jaki to jest ten „normalny“ rozwój i o jakie „naturalne“ potrzeby chodzi p. *Greiserowi!* Oznacza to nie mniej i nie więcej, jak gwałcenie statutu Wolnego Miasta i międzynarodowo zagwarantowanych praw Polski w Gdańsku.

Dobrze się stało, że „P.A.T.“ z miejsca i ostro odrzuciła podobne samawolne „interpretacje“, dając do tego p. *Greiserowi* mocno po nosie. Ale czy p. *Greiser* działał w tej sprawie, jak zresztą w każdej innej, na własną rękę, czy też pod wpływem inspiracji swoich „zagranicznych“ towarzyszy partyjnych?

Podnieśliśmy: Gdańsk jest najczulszym kamieniem probierczym istotnej wartości wzajemnych stosunków pomiędzy Warszawą i Berlinem. A oto najnowszy akt w dziedzinie regulowania tych stosunków musiał natychmiast potknąć się o kamień gdański.

20 lat władzy sowieckiej

Historia lubuje się nie raz w wywoływaniu iście paradoksalnych sytuacji, a pewne jej wydarzenia często niepozbawione są złośliwej ironii. Bo czyż nie jest szczytem paradoksalności i szyderczej wprost ironiczności, że właśnie dziś, w r. 1937 przypada w Rosji dwudziestoletni jubileusz październikowej rewolucji bolszewickiej; że odświeżane dziś echa strzałów, które przed 20 laty padały na barykadach Piotrogradu zlewają się z strzałami, rozbrzmiewającymi dziś na miejscach egzekucji starych bolszewików; że głoszone w październiku 1917 r. hasła pacyfizmu i internacjonalizmu zostały zagłuszone w październiku 1937 r. hasłami militaryzmu i neo - nacjonalizmu rosyjskiego; że główny bohater rewolucji październikowej żyje wyklęty, potępiony i zdegradowany na wygnaniu, jego współpracownicy i współbojownicy w ogóle nie żyją, wyklinani, potępiani i lżeni po śmierci, a miejsce bohaterów czerwonego października powoli zajmują w oficjalnych podręcznikach historii różni „narodowi“ bohaterowie rosyjscy, j. n. p. generalissmus carski z okresu wojen napoleońskich, *Kutuzow*..

Po 20 latach władzy sowieckiej, władzy całkowicie nieograniczonej, przez nikogo nie krępowanej, z nikim nie dzielonej — okazuje się, że ideały, w imię krótych tak hojnie przelewano krew na barykadach i na miejscach kaźni, są dzisiaj dalsze urzeczywistnienia, niż kiedykolwiek przed tym. A nawet to, co osiągnięto w pierwszych okresach istnienia Sowietów, nawet te zdobycze w dziedzinie uspołecznienia warsztatów produkcji, pracy dla robotników i ziemi dla chłopów — znalazły się dziś pod wielkim znakiem zapytania, tak, jak pod znakiem zapytania jest dzisiaj życie i dobre imię najwyższych dygnitarzy sowieckich i przywódców partii bolszewickiej, tak jak pod znakiem zapytania jest cała rzeczywistość państwa sowieckiego pod rządami dyktatora *Stalina*.

Dla sympatyków (wczorajszych oraz *jeszcze* dzisiejszych)) eksperymentu sowieckiego dzień dwudziestoletniego jubileuszu rewolucji październikowej nie jest chyba dniem święta, ale rozczarowania. Dla konsekwentnych zwolenikńw demokracji, t. j. systemu rządu ludu za pośrednictwem reprezentacji ludu, pod kontrolą ludu i dla dobra ludu, dla pryncypialnych antagonistów wszelkiej dyktatury, bez względu na jej zabarwienie i frazeologię — historyczna kompromitacja dyktatury sowieckiej w dwudziestolecie jej istnienia nie jest bynajmniej niespodzianką. Albowiem wszelka niepodzielna władza jednostki, kliki, grupy, czy monoportii musi wcześniej czy później prowadzić do dekadencji i zdrady celów, w imię których miała być ustanowiona. 20 lat władzy sowieckiej potwierdza tylko tę starą prawdę.

„Dichtung und Wahrheit“ p. S. H.

W sobotnim numerze „Naszego Przeglądu“, który tak gorąco zawsze nawoływał do solidarności społeczeństwa żydowskiego w Polsce nawet za cenę kapitulacji przed „Agudą“ i „bebeżydami“, naczelny publicysta tego pisma, p. S. H., w artykule „Fetysz solidarności“ usiłuje teraz, gdy mu chodzi o rozbicie kongresu demokratycznych ugrupowań żydowskich, dowodzić, że solidarność jest rzeczą niepotrzebną. W tym artykule p. S. H. pozwolił sobie mimochodem na następujący passus, pisząc o Sejmie Ustawodawczym:

‚Podobnież przy kwestii rolnej tylko folkiści głosowali za reformą“.

Otóż owo głosowanie było imienne i odbyło się w dniu 10 lipca 1919 r. Na str. 59 i 60 stenogramu sejmowego z tego posiedzenia jest spis tych, którzy głosowali wówczas. Za reformą, t. zn. za wnioskiem mniejszości głosowało 183 posłów, w tej liczbie: N36 Farbstein, N45 — Grünbaum, N47 — Hartglas, N49 — Hirszhorn, N103 — Nomberg, N136 — Schipper, N162 — Thon. Poseł Rosenblatt był nieobecny. Posłowie z Agudy, Perlmuter i Halpern w głosowaniu udziału nie wzięli. Wśród 182 głosujących przeciwko reformie *ani jednego Żyda* nie było.

Tak wyglądają fantazje p. S. H., skonfrontowane z prawdą dokumentów.

Jubileusz „Hatechii“

Organizacja Radykalnych Syjonistów „Hatechija“ w Warszawie obchodzi dziesięciolecie swego istnienia. Założona w burzliwych dniach jesieni 1927 r., w okresie wzrostu natężenia walki o obywatelskie i narodowe prawa żydostwa polskiego, prowadzonej pod przewodnictwem obozu syjonistycznego, „Hatechija“ zawsze pozostała wierna zasadom prawdziwie syjonistycznej polityki krajowej, których wyrazicielem był Icchak Grünbaum, Prezes Honorowy Organizacji od chwili jej założenia aż po dzień dzisiejszy. Pozostała wierna, mimo, że koniunktura nie zawsze sprzyjała tym, którzy mieli odwagę iść przeciw prądowi i ponosić związane z tym ofiary i konsekwencje.

To nie liczenie się z nakazami koniunkturalności i taniej popularności było bodaj dominującą cechą bogatej i różnorodnej działalności „Hatechii“ na przestrzeni dziesięciolecia. Wszędzie i zawsze. W sprawach palestyńskich i krajowych. Tak było w pamiętnych dniach przedwiośnia 1928 r., gdy w czasie wyborów sejmowych doszło do walnej rozgrywki pomiędzy radykalnym obozem Grünbauma, a żydowskimi grupami ugodowymi, zakończonej walnym zwycięstwem niezależnej żydowskiej myśli politycznej. Tak było w dniach walki wewnętrznej o zachowanie demokratycznego, postępowego i ludowego charakteru Organizacji Syjonistycznej w Polsce. Tak było w latach dramatycznej walki przeciw przeszczepianiu na grunt żydowski wzorów faszystowskich w postaci modnego przez pewien czas rewizjonizmu. Tak było w niezliczonych akcjach i pracach syjonistycznych, w których niemal zawsze przodowała „Hatechija“.

„Hatechije“ nazwano gwardią Grünbauma. Było to nad wyraz zaszczytne określenie. Ale w swej istocie była „Hatechija“ czymś jeszcze większym: gwardią Syjonizmu. Gwardia ta zdołała wychować zastęp młodych działaczy syjonistycznych, z pośród których wielu już dziś działa na odpowiedzialnych stanowiskach w ruchu syjonistycznym oraz w żydowskim życiu politycznym w Polsce. Była więc „Hatechija“ awangardą syjonistycznego aktywizmu, ale zarazem: szkołą pracy społecznej i politycznej, szkołą, która na przestrzeni dziesięciolecia zdołała wytworzyć własną metodę wychowawczą.

Istotą tej metody było ścisłe, bezpośrednie i pozbawione wszelkiej sztuczności zespolenie na wspólnym polu pracy syjonistycznej inteligencji żydowskiej z żydowskimi elementami ludowymi. Członkowie „Hatechii“ rekrutują się z elity inteligencji syjonistycznej w Warszawie, oraz ze wszystkich warstw społeczeństwa żydowskiego w stolicy. Współpraca żydowskich adwokatów, inżynierów i lekarzy z żydowskimi kupcami, rzemieślnikami i robotnikami na terenie „Hatechii“ — jest ścisła, prawdziwie przyjacielska i naturalna. Tak więc hasło demokracji, wypisane na sztandarze „Hatechii“ nie jest tylko dalekim ideałem, ale realnym programem, urzeczywistnianym w codziennej pracy. Jest to wielką zasługą syjonizmu, dzięki któremu dokonuje się prawdziwa demokratyzacja żydowskiego życia społecznego i wzajemne zbliżanie się różnych warstw i klas naszego narodu.

„Hatechija“ warszawska stała się bodźcem dla założenia podobnych organizacji na prowincji, zwłaszcza w większych skupieniach żydowskich. Obecnie istnieją podobne organizacje w kilkudziesięciu miastach i miasteczkach. Wszędzie stanowią one integralną część Organizacji Syjonistycznej w Polsce, wszędzie przepojone są ambicją godnego spełniania roli jej awangardy. Ich radykalizm przejawia się w trzech płaszczyznach: demokratycznej, krajowo - politycznej i — przede wszystkim — syjonistycznej.

Na dziesięcioletni jubileusz życzymy „Hatechii“, by dalej niezłomnie kroczyła po trudnej drodze, którą obrała, by wraz z całym syjonizmem polskim doczekała się realizacji ideałów, którym wiernie służy.

Najnowszy przebój PLUTOS
„PRALINOR“
10 czekoladek różnych smaków w jednej tabliczce.

Inż. A. Glizer

Sir Arthur odchodzi

(KORESPONDENCJA WŁASNA „STERU“ Z PALESTYNY)

Rządy Wauchope'a nie o wiele przetrwały jego politykę. Kurs polityczny ustępującego Wysokiego Komisarza, dość wyraźnie potępiony już w sprawozdaniu Komisji Królewskiej, otrzymał zabójczy cios 1-go października b. r. Było do przewidzenia, że z chwilą, gdy postawiono Wauchope'a przed dokonanym faktem rozwiązania Naczelnego Komitetu Arabskiego i usunięcia Muftiego, rzeczy, którym Wysoki Komisarz przez cały czas kategorycznie się przeciwstawiał, — nie będzie on mógł — a może i chciał — pozostawać dłużej na urzędzie. Nie zapominajmy, że w osobie Wauchope'a żegna Palestyna silną indywidualność, która wycisnęła głębokie piętno osobiste na wszystkim, co się w Palestynie od 1931 r. działo i dzieje, indywidualność, która napewno przejdzie do historii powojennej Palestyny, choć ostatnie tygodnie wykazały, że przeświadczenie o błędności jego polityki stało się już powszechne i dotarło nawet do rządu brytyjskiego.

Przeświadczenie to nie przeszkodzi nam stwierdzić, że Sir Arthur Wauchope był pod wieloma względami najwybitniejszym — i najlepszym z dotychczasowych Wysokich Komisarzy. Był on przeciwieństwem tego gatunku przeciętnego administratora brytyjskiego, który tyle złego nam wyrządził w Palestynie. Nie był biurokratą, rutyna nie była mu wyrocznią, nie szukał łatwego i spokojnego życia. W swej mowie inauguracyjnej przyrzekł, że postara się uczynić ten kraj jaknajprędzej swym własnym, i dotrzymał słowa. Żaden z Wysokich Komisarzy nie poznał tak gruntownie kraju, nie wszedł w tak bliski i wszechstronny kontakt z ludnością obu narodowości i wszystkich warstw, jak Wauchope. Jego ciągłe rozjazdy stworzyły standart, na którym następcy jego nie łatwo przyjdzie się utrzymać. „Latający Wysoki Komisarz“ znał chyba każdy zakątek kraju i starał się wyjść poza zwykłe poznawanie rozmaitości krajobrazów podległego sobie terytorium. Odwiedziny w osiedlu nie były odwiedzinami, jeśli Wauchope nie wszedł do czyjegoś mieszkania, nie obejrzał krów i kur, nie dowiedział się, wiele dają mleka czy jaj, nie poinformował się o kalkulacji itd. Wszyscy go znali a i on znał niezmiernie dużo ludzi. Popularność, którą się cieszył, była szczera i naprawdę powszechna. Do ostatnie właściwie chwili, chociaż polityka jego wywoływała największy sprzeciw, pozostał wciąż jeszcze serdeczny stosunek do starszego pana o miękkim sercu. Nazywano go „lady Wauchope“, ale gdy przyjeżdżał do Tel-Avivu w ostatnim nawet roku, spotykała go zawsze jeszcze owacja przechodniów i przypadkowej publiczności, naprawdę spontaniczna, bo z rozmysłu należałoby raczej milczeć...

Ludzie czuli, że człowiek ten przyjechał do kraju z ogromnym zapasem dobrej woli, i to zarówno wobec Żydów, jak i Arabów. Życzył dobrze jednym, jak i drugim, i cieszył się sukcesami jednych, jak i drugich. Był wybitnie inteligentny i miał otwarte uszy dla perswazji. Można go było przekonać i z trudem przychodziła mu odmowa wobec żądań słusznych. W czasie, gdy ogólna linia jego „wielkiej polityki“ była już wyraźnie przeciwna naszemu stanowisku, w szczegółach uzyskiwaliśmy — acz z opóźnieniem — prawie wszystko, czegośmy się domagali, i to często wbrew opinii jego doradców i podwładnych. Dość wspomnieć sprawę portu tel-avivskiego, do częściowego ojcostwa którego Wauchope nie bez słuszności się poczuwa i który odwiedza przy każdej okazji, sprawę żydowskiej policji pomocniczej, budowy szos w okolicach żydowskich itd. Znane są też fundacje i darowizny Wauchope'a z jego funduszów prywatnych (wbrew przysłowiowemu szkockiemu skąpstwu—Wauchope jest Szkotem) na cele zarówno żydowskie, jak i arabskie.

Dobra wola i pokojowość tego szczególnego generała przyczyniły się może niemało do jego fatalnego błędu historycznego. Dość długo przed wybuchem rozruchów, gdy sytuacja na Morzu Śródziemnym zaczęła się wikłać, wykrystalizowało się u Wauchope'a przeświadczenie, że dla utrzymania spokoju w Palestynie musi Anglia za wszelką cenę zjednać sobie Arabów. Wtedy to pojawiły się — równolegle z propozycją, decyzją prawie, utworzenia Rady Legislatywnej — projekty ustawowego ograniczenia imigracji żydowskiej i żydowskich zakupów ziemi. Krwawy kwiecień 1936 r. i wszystko, co po tym nastąpiło, nie zmieniły poglądu Wauchope'a. Wierzył on nadal w konieczność — i w możność — udobruchania Arabów. Strzegł kontaktu z arabskimi przywódcami. Unikał zdecydowanych środków. Wierzył jeszcze wciąż w swój wpływ osobisty. W czasie, gdy w kraju szalał teror, Wysoki Komisarz wygłasza mowę i opowiada o tym, że w szpitalu chorób ocznych spadła ilość pacjentów przychodzących do połowy, ponieważ fellachom trudno teraz przybywać do miasta. W imię tego wzywa ludność do przerwania strejku i gwałtów, człowiek, z którego ust cały kraj oczekiwał tego wieczora mocnego i stanowczego słowa.

Sir Arthur Wauchope mógł pozostawić w kronikach Palestvny wspomnienie o popularnym i lubianym gospodarzu, który znalazł drogę do serc mieszkańców tego kraju. Lecz do wszystkiego trzeba mieć szczęście. Jedyny w dziejach Palestyny, jeden z nielicznych w praktyce imperium brytyjskiego szef administrtacji kolonialnej, którego kadencję wbrew zwyczajowi przedłużono po upływie pięciolecia jego pierwszej nominacji na następnych lat pięć, — ustępuje długo przed końcem tego drugiego okresu, który miał trwać do r. 1941. Ustępuje nie tyle syt chwały i honoru, co syt zmartwień i rozczarowań. Wspaniały rozwój kraju, związany z pierwszym okresem jego rządów, uległ brutalnemu zahamowaniu. Kraj jest od długich miesięcy widownią mordów i zniszczenia. Polityka łagodności i ustępliwości zawiodła. Musiała przyjść polityka silnej ręki, a i ta tylko z trudem może odrobić to, co półtora roku bezrządu zaprzepaściło. Czy może ustępujący Wysoki Komisarz odejść w świadomości, że nie na nim samym spoczywa lwia część odpowiedzialności za to, co się stało?

Ustąpienie Wauchope'a było w tej chwili krokiem zrozumiałym. Żegnamy go z uczuciem żalu: żalu, że człowiek, którego rządy mogły należeć do najszczęśliwszych, własnymi rękami zniszczył wiele z tego, co zbudował, że człowiek, który swe wybitne walory osobiste, inteligencję i kulturę tak szczerze postawił na usługi obcego sobie kraju, doszedł w końcu do katastrofy swych zamierzeń i ciężkiej klęski kraju, który mu powierzono. Najsympatyczniejszy z dotychczasowych Wysokich Komisarzy Palestyny był, zdaje się, najnieszczęśliwszy.

TEL-AVIV, 7.11.37.

JÓZEF PRZEDBORSKI

Samuraj w cylindrze

DEKOMPOZYCJE JAPONSKIE.

Gdy w latach 1852—1864, działa amerykańskich i europejskich statków wojennych demonstrowały Japończykom „wyższość“ cywilizacji zachodniej, wyspiarze Dalekiego Wschodu przeżywali jednocześnie swoją własną rewolucję. Odseparowane naturalnymi granicami od reszty świata społeczeństwo teokratyczno-feodalne, wstrząsane było fermentami i gorączka procesów socjalnych, które domagały się rozwiązania. W tych warunkach stronnictwo postępowej szlachty „Kajkokuto“, żądające wpuszczenia obcych do „świętego kraju“, i ich przeciwnicy „Dżojto“, zwalczający obcych „barbarzyńców“, były wyrazem samorodnych procesów, zachodzących w łonie przeżytego ustroju. Zwycięskie powstanie szlachty średniej — Samurajów — przeciwko arystokratycznym „Dajmio“, zakończyło burzliwy okres ostatniego „Sjogunatu“. Rewolucja samurajów wysunęła z natury rzeczy na czoło nowo formującego się państwa i ustroju, „symbol wiecznej Japonii“, 15-letniego wówczas cesarza-arcykapłana Mutsuhitę. Rozpoczęła się epoka „Mejdżi“ — nowoczesna Japonia zabłysła nagle, jak meteor, na horyzoncie świata. W ciągu 44 lat panowania cesarza Mutsuhity zrobiła Japonia karierę mocarstwową, pobiła Chiny i Rosję carską, zdobyła kolonie na kontynencie azjatyckim, przyjaźń i sojusz Anglii.

Świetna kariera polityczna, szybkie wyswobodzenie się z więzów finansowych i politycznych mocarstw zachodnich, możność przeciwstawienia tym ostatnim japońskich armat, japońskiej armii i japońskiego kapitału, zawdzięcza Japonia temu, że w chwili, kiedy Zachód począł dobijać się do wrót kraju Wschodniego Słońca, gleba była tam już socjalnie przygotowana na przyjęcie nieproszonych gości. W przeciwieństwie do Chin — potrafił samuraj japoński szybko przyswoić sobie metody nowoczesnego kapitalizmu. Nie na darmo drobno szlacheckie rodziny Mitsui, lub Okamura rozwinęły już w 16. i 17. stuleciu manufakturę japońską. Ta drobna szlachta, wykpiwana i uciskana przez wielkich dziedziców i arystokratów, była gotowa na przyjęcie kapitalizmu. Pewni siebie „kulturtregerzy“ zachodni trafili w Japonii, jak kosa na kamień!

Ale samuraj, który nałożył cylinder, a starożytny podwójny miecz i resztę nowoczesnego ekwipunku pozostawił nowej kaście oficerskiej; samuraj, uznający kapitalistyczny podział pracy, samuraj, jako bankier i przemysłowiec, hurtownik i armator — nie uszczęśliwił Japonii. Szeroki strumień kapitalizmu, który wpadł gwałtownie do Japonii, zaostrzył niesłychanie przeciwieństwa społeczne i pchnął Kraj Wschodzącego Słońca imperatywnie na drogę skrajnego imperializmu. Propaganda japońska operuje jednak nadal symboliką kwiatu wiśni i świergotem romantycznego „szamisenu“, ukrywając w ten sposób głębokie „dekompozycje“, zachodzące w łonie japońskiego organizmu społecznego.

JAPAN UP TO DATE.

Japonia ma garstkę bardzo bogatych nababów i jest zarazem jednym z najbiedniejszych krajów na świecie. Japonii brak najniezbędniejszych zasobów naturalnych w dziedzinie surowców. Musi ona sprowadzać z za granicy 75% rudy, 50% łomu i 25% surówki żelaza! Manchester japoński w Osaka zakupuje surowce w Indiach, w Australii i w Chinach! Węgiel japoński nie wystarcza i nie koksuje — nafty brak... Trójdźwięk wszelkiej potęgi — węgiel, żelazo i nafta — daje w Japonii dźwięk pusty.

Dlatego Japonia chce zdobyć sobie te skarby, chce zdobyć sobie rynki zbytu dla swych towarów we własnych koloniach i chce powiększć rezerwuar arcy-taniej siły roboczej chwilowo o 50 milionów Chińczyków w Chinach północnych. Japonia jest bardzo biedna. Ale gdy będzie miała do dyspozycji 150 do 180 milionów obiektów rządzenia i surowce chińskie — czy wówczas stanie się bogatszą?

Nie! — odpowiada świetny fachowiec dla spraw dalekowschodnich, docent uniwersytetu Columbia, N. Peffer, na łamach organu amerykańskiej elity umysłowej „Foreign Affairs“. Badając penetrację japońską w Mandżurii, gdzie władza japońska dokonała bardzo poważnych inwestycji, dochodzi uczony amerykański do następującego wniosku: „Prosta, nieprzezwyciężona i tragiczna dla Japonii prawda przedstawia się w ten sposób, że Japonia nie była i nie jest dość bogata, aby odnieść sukces w Mandżukuo... Japonia przegra.“

PRZEZ GŁODOWE RACJE DO POTĘGI.

Czy przegra? Japonia i jej samurajowie w cylindrach są zdecydowani do największych ofiar... swego 70-milionowego ludu w macierzy i milionów w kolonach. Japonia przygotowuje się do tego metodycznie. W Tokio mieści się Cesarski Instytut Aprowizacyjny, którego dyrektor, dr. Tadasu Saiki, zajmuje się nader intersującymi doświadczeniami. Chodzi o to, aby zracjonalizować pożywienie Japończyka do minimum. Zglajchszaltowane jedzenie przeciętnego Japończyka nie powinno kosztować więcej, aniżeli 16 senów dziennie! Odpowiada to nominalnej wartości ok. 10 groszy, a sile kupna ok. 30 groszy polskich!

Już dotychczasowe wyżywienie Japończyka przedstawia się nadzwyczaj skąpo. Nie trzeba być zwolennikiem krwistych befsztyków angielskich i obfitego stołu Amerykanina, aby ocenić negatywnie stan wyżywienia Japończyka. Był on zawsze niedokarmiony, jakkolwiek doświadczenia 2 generacji wykazały, że dobrze odżywiony Japończyk przezwycięża rasowy niedorozwój łatwo i zyskuje kilka centymetrów wysokości! Mały wzrost odgrywa u Japończyków rolę tę samą, co wełnista czupryna u murzynów. Ich duma cierpi z tego powodu niesłychanie. I jakkolwiek jest i na to rada — musi Japończyk czekać na lepsze czasy.

Samurajowie w cylindrach zapewniają, że robotnik japoński czuje się najlepiej na swojej twardej macie do spania i przy swoim spartańskim posiłku. Ale żołnierz japoński otrzymuje żelazne łóżko europejskie i o wiele lepsze wyżywienie. Żołnierz japoński jest eksponentem potęgi Japonii, ale budują ją głodowe racje ludu pracującego!

HARACZ ŚWIATA PRACY.

Niedola chłopa japońskiego jest podstawa japońskiej potęgi przemysłowej, głodowe zarobki robotnika wytwarzają ją. Karłowate rolnictwo japońskie dźwiga 31,26% ciężarów podatkowych, podczas kiedy potężny handel i przemysł partycypują tylko w wysokości 13,83% w dochodach państwa. Rozproszkowanie drobnej własności rolnej jest kolosalne. Anegdota japońska opowiada, jak to pewien chłop nie mógł absolutnie doliczyć się swych pól i dopiero po dłuższej deliberacji spostrzegł, że jedna działka leży właśnie pod jego wielkim kapeluszem słonecznym!

Anegdota ta nie przesadza zbyt wiele. Większość pól ryżowych zajmuje obszar naszej średniej izby! Chłop urządza często podręczne inspekty jarzyn na dachu swej chaty, miedzy i ścieżki są centymetrowej szerokości! Produkcja 1 „Koku“ ryżu szlachetnego kosztuje chłopa, pracującego na własnym gruncie, po cenie własnej 30 jen, dzierżawcę zaś 50 jen. Chłopi japońscy nie jadają zresztą swego ryżu — idzie on na eksport, a dochody z niego na opłacenie podatków. Koku ryżu kalifornijskiego kosztuje bowiem tylko 22 jen!

DEMAGOGIA SPOŁECZNA.

W marcu 1935 roku, w trzydziestą rocznicę bitwy pod Mukdenem, ukazała się nakładem ministerstwa wojny ciekawa broszura. Można w niej wyczytać następujące zdanie: „Nasza gospodarka jest wydana na łup kapitału finasowego. Pod strasznym brzemieniem ustroju kapitalistycznego cierpi lud japoński nędzę i głód“. Broszura wzywa Japonię do powrotu do starych obyczajów. Ta sui generis „wywrotowa“ propaganda jest w Japonii na porządku dziennym, a jej eksponentami są t. zw. młodzi oficerowie pod przewództwem kliki generalskiej, grupującej się wokół osoby gen. Araki'ego. Z szeregów tych „młodych“, z łona dziesiątka ugrupowań i klubów „narodowo-radykalnych“ rekrutują się też „ludzie czynu“, którzy dokonują znane zamachy terorystyczne, zamachy stanu i zbrodnie polityczne.

Za granicą nie pojmowano przez długi czas znaczenia i racji bytu tych ugrupowań. Ale ten „japonizm“ odgrywa zbyt pożyteczną rolę, aby miał spotkać się z prawdziwym odporem władz. Jest on doskonałym piorunochronem wobec narastających konfliktów społecznych, i mimo iż zagraża istnieniu poszczególnych osób, nie jest niebezpieczny dla klasy rządzącej jako takiej. Organizacje „japonistyczne“ konsumują świetnie zapał i tęsknotę antykapitalistyczną młodzieży i skierowują je na fałszywe tory. To też, jakkolwiek część liberalizującego kupiectwa przeraża żywiołowość „japonizmu“, ruch ten cieszy się z drugiej strony poparciem obszarników i wielkiej finansjery, a wśród patronów tego ruchu figurują często nazwiska synów lub ojców ofiar patriotycznej krewkości „młodych“.

Zjawisko to należy do antynomii ustrojowych i nie jest obce nawet w warunkach europejskich. Z całą ostrością musi więc wystąpić w kraju, który w przeciągu dwóch generacji przebył drogę od średniowiecza do imperializmu i faszyzmu up to date. Na gruncie „japonizmu“ wyrastają też najdziksze teorie i fantazmagorie. Projekt wysiedlenia przemysłu na wieś należy do rzędu tych ostatnich. Ludność miejska Japonii wzrosła w ciągu ostatnich 35 lat o 300%, a mieszkańcy wsi tylko o 7%. Należy więc — zdaniem niektórych „japonistów“ — skierować ludzi z powrotem na wieś. Tania energia elektryczna ma umożliwić Japonii parcelację wielkiego przemysłu i wyswobodzenie się z niewoli kapitału! Ale hasłem naczelnym „japonizmu“ jest państwo-rodzina pod patronatem cesarza-ojca, społeczeństwo zglajchszaltowanych mrówek pod opieką boskiego orędownika!

Nieskończona pycha i duma rozpiera dusze młodych i kiepsko opłacanych oficerów, których siostry sprzedane zostały może do domów publicznych, aby panom synom umożliwić studia. Generał Araki tak do nich przemawia: „Kraj nasz jest zdecydowany. Ideę naszą rozprzestrzenimy na siedmiu morzach i pięciu kontynentach, choćby nam przyszło użyć siły. Jesteśmy potomkami bogów i musimy rządzić światem.“ (Gen. Araki w miesięczniku klubu wojskowego „Kajkosza Kidżi“, z sierpnia 1932 r.)

DUSZA NIPPONU NA RÓŻNIE.

Biedna, a skądinąd tak sympatyczna Japonia! A jednak — jak strasznych niespodzianek oczekiwać należy od tej strefy burz i tajfunów politycznych. Dusza Nipponu, ta romantyczna mieszanina uprzejmej uniżoności, ogłady towarzyskiej i kultury, sylwetka Japończyka, widziana oczami oczarowanego Lafcadio Hearn'a, wywraca się na nice. Osmolona powierzchownie na rożnie kapitalistycznym, zmienia ona gwałtownie skórę i staje się groźna i niesamowita. Cywilizacja zachodnia sprzymierzyła się w Japonii z kulturą orientalną w momencie swego rozkładu, w momencie swego dziejowego zmierzchu. Owoce tego przymierza są też tragigroteskowe.

Rozdwojenie psychiki japońskiej rzuca się w oczy. Na ulicy i przy pracy Japończyk stara się być europejczykim, a w domu staje się azjatą. Samurajowie w cylindrach skłonni byli przypuszczać, że są to zewnętrzne formy adaptacji do świata, z którym podjęli konkurencję handlową i polityczną. Ale samurajowie pomylili się. Do nowych form przywiązana jest nowa treść. Daremnie nawołują oni lud, aby powrócił do starych obyczajów. Kapitalistyczna Japonia nigdy już nie powróci do średniowiecza, wszystko jedno jakiego, choćby nawet oświetlonego żarówką elektryczna.

Dusza Nipponu skwierczy na rożnie nowoczesnego kapitalizmu, potomkowie bogów zmieniają się raptownie na pospolitych ludzi 20-go stulecia. Czeka ich wspólny los, i wspólne zmagania zadecydują o ich przyszłości.

SAMURAJ PRZEGRA, ALE JAPONIA ZWYCIĘŻY!

Japonia ma zdecydowanie złą prasę w Stanach Zjednoczonych. Amerykanie czują się sprowokowani i dotknięci, boją się by nie wystrychnięto ich na dudka.. A Japonia zabiera sobie północne Chiny i kładzie łapę na Szanchaj i jego zaplecze, główną domenę wpływów amerykańskich. Amerykanie pocieszają się wprawdzie, że Japonia nie strawi tych terenów, ponieważ brak jej kolosalnych zasobów krajów anglo-saskich. Ale Japonia znowu wierzy, że najważniejszym potencjałem energii jest siła robocza odpowiednio wytresowanego człowieka. Samuraj w cylindrze staje się nawet po prostu nieuprzejmy i dobiera sobie w Europie odpowiednich sprzymierzeńców. Dumni i pyszni oficerowie japońscy piszą równocześnie w swych gazetkach: „Armia nasza jest silniejsza od armi sowieckiej, a nasza marynarka, zwłaszcza jej materiał ludzki, są więcej warte od marynarzy amerykańskich. Nie boimy się ani armii sowieckiej, ani marynarki Stanów Zjednoczonych. Pobijemy obie na lądzie i na morzu!“

Z punktu widzenia czysto militarnego zdania fachowców są pod tym względem podzielone, a aktualnie prowadzona wojna w Chinach nie pozwala na wyciągnięcie ostatecznych wniosków, już chociaż by dlatego, że jest to mimo wszystko jeszcze wojna „mała“, że pełny aparat nowoczesnych środków militarnych nie wchodzi tam jeszcze w użycie. Niemniej i tutaj ponieśli Japończycy szereg dotkliwych porażek, mimo że wojna prowadzona jest z niezwykłą brutalnością.

Ważniejsza była by ocena frontu wewnętrznego w Japonii samej. Niestety informacje są pod tym względem niezwykle skąpe — japońskie państwo policyjne nie uznaje opinii publicznej i ma dość sposobów, aby głos jej zdławić. Należy jednak wątpić, aby wojna ta była na prawdę bardzo popularna wśród szerokich warstw ludowych. Warstwy te dochodzą jednak zazwyczaj dopiero do głosu po wojnie lub po dłuższym jej trwaniu, gdyż każda wyprawa wojenna wywołuje w Japonii z reguły większy lub mniejszy kryzys wewnętrzny. Tak było w „głodowym roku“ 1918, tak też i po wyprawie mandżurskiej.

To też na dalszą metę można przewidzieć tylko jedno. Samuraj nie zdzierży na dłuższą metę, zwłaszcza w konflikcie ewentualnym z nową potęgą lądową Sowietów, względnie potęgą morską państw anglosaskich lub kombinacją tych przeciwników. Jego reasekuracja „japonistyczna“ gotowa zawieść. Ale klęska samuraja byłaby raczej zwycięstwem Japonii. I tego zwycięstwa winna demokracja europejska życzyć Japonii. A także i tego, by zwycięstwo takie nie było okupione klęską narodową ludu i kraju, zasługujących ze wszech miar na szacunek.

Maks Werner

Henryk de Man—wódz socjalizmu belgijskiego

Henryk de Man — sprzymierzeniec a potem przeciwnik van Zeeland'a — jest z pochodzenia Flamandczykiem, ale jak rzadko kto łączy w sobie kulturę romańską i niemiecką. De Man jest reformistą — ale reformistą swoistego typu.

Był już dwukrotnie „radykałem“ i poznał wtedy dokładnie rewolucyjny marksizm w jego klasycznej niemieckiej formie. Zaledwie dwadzieścia lat temu (około roku 1905 pako student w Lipsku razem z Karolem Radkiem) był współpracownikiem „Leipziger Volkszeitung“, przeszedł wtedy szkołę Franza Mehringa i Róży Luxemburg. W późniejszych latach był wraz z Karolem Liebknechtem i Ludwikiem Frankiem założycielem Socjalistycznej Młodzieży Robotniczej i Międzynarodowej Młodzieży Socjalistycznej.

W partii belgijskiej należał do lewego skrzydła i wraz z Louis de Brouckère, którego teraz stał się przeciwnikiem, zwalczał oportunizm. Podczas wojny światowej wśród huku armat niemieckich de Man po raz pierwszy rewiduje swe poglądy, staje do obrony kraju jako ochotnik i zostaje oficerem w lotnictwie. Gdy w lecie 1917 roku zwiedzał wraz z Vandervelde'm zrewoltowaną Rosję, był niemile zaskoczony faktem, że rosyjscy „internacjonaliści“ zgotowali tak chłodne przyjęcie jemu, belgijskiemu „socialpatriocie“.

Po wojnie de Man kieruje akcją organizacyjną partii belgijskiej. Nie daje to mu jednak, przypuszczalnie pełnego zadowolenia; udaje się potem do Ameryki, wędruje po kraju, poznaje obcy świat i tworzy zarysy nowej ideologii socjalistycznej. Ale nie wraca już do Belgii, lecz do duchowej swojej ojczyzny, Niemiec, i tam propaguje zmodyfikowany pogląd socjalistyczny.

W 1926 roku ukazuje się jego wielkie dzieło: „Zur Psychologie des Sozialismus“. W jesieni zaś 1925 w mieście uniwersyteckim na południu Niemiec słyszałem, jak w ciasnym gronie w poważny i swoisty sposób rozwijał swoją koncepcję. De Man odrzuca mechaniczno - ekonomiczny sposób pojmowania niemieckiego reformizmu i radykalizmu marksistowskiego. W książce swojej śledzi za rozprzestrzenianiem się socjalistycznej świadomości i odkrywa motywy postępowania socjalistów. Jego metoda badania psychologii mas socjalistycznych była owocna. Konsekwencje były wprawdzie reformistyczne, pomimo to jednak de Man nie chciał zaakceptować reformizmu niemieckiego.

Ten oportunistyczny socjalizm interesu krytykował de Man zawzięcie, zwalczał ostro jego płytkość i brak pogłębienia, zapowiadał jego załamanie się wewnętrzne. W koncepcji de Mana były jednak i słabe strony. Dał się porwać fali psychologizmu, która zalewała wówczas życie umysłowe Europy, w przeżyciach i emocjach znajdywał rozwiązanie wszelkich zagadnień: polityki, walki klas i struktury społecznej. Był impresjonistą i intelektualnym socjalistą, a socjalizmowi interesu nie potrafił przeciwstawić żadnej rewolucyjnej treści.

De Man propagował swoje idee, ale stał wtedy z dala od czynnej polityki. Udał się do Szwajcarii, potem do Frankfurtu, gdzie otrzymał katedrę. W 1933 roku ukazała się jego książka: „Die Sozialistische Idee“, która zawiera bogatą treść i aktualne myśli polityczne, należące do żelaznego kapitału socjalizmu europejskiego. De Man głosił upadek epoki reformistycznej w europejskim ruchu robotniczym, zapowiadał początek ostrzejszych walk. (To, że teraz raz jeszcze zrewidował poglądy, nie zmniejsza wartości jego ówczesnych pojęć). Żądał zdecydowanego przejścia do ofenzywy politycznej i gotowości do fizycznej obrony przed faszyzmem, żądał nowej polityki. Proletariat winien, według niego wyzwolić się ze swej cechowej ciasnoty, walczyć o przywództwo w narodzie, zdobywać zaufanie demokratycznej klasy średniej. Socjalizm winien własnymi metodami przeciwdziałać gospodarczemu i społecznemu kryzysowi, który stał się podłożem faszyzmu. Plan powinien zawierać konkretny program reformy gospodarczej, która staje się bezpośrednim celem, a tym samym Plan staje się silnym motorem politycznym ruchu robotniczego.

De Man wystąpił wtedy jako istotny reformator belgijskiego i europejskiego socjalizmu. Koncepcja jego w krótkim czasie pociągnęła za sobą wiele socjalistycznych stronnictw europejskich zarówno reformistycznych,, jako też należących do lewego skrzydła. W ostatnich tygodniach francuska partia socjalistyczna z inicjatywy lewego skrzydła opracowała program reformy w strukturze gospodarczej. Wtedy, w 1933 roku, de Man stał się naczelną figurą w belgijskiej partii robotniczej, jej faktycznym przywódcą — potem został ministrem. Wybiła jego wielka godzina, godzina czynu.

Rezultatów działalności de Mana nie wolno niedoceniać. Opór szerokiego frontu demokratycznego spowodował upadek faszystowskiego ruchu Degrelle'a. Stworzono ramy ustaw gospodarczo- i finansowo-politycznych; masy robotnicze pogodziły się z myślą o tym, że minęły czasy nieśmiałych prób zreformowania kapitalizmu i że teraz przedmiotem walk politycznych stają się wielkie, gruntowne przemiany w systemie gospodarczym.

Metoda polityczna, za pomocą której de Man chciał zrealizować swe plany, zawiodła. De Man wierzył, że przy pomocy demokratycznego skrzydła Partii Katolickiej uda mu się osiągnąć zdolną do działań dla jego planowej gospodarki większość, skończyło się jednak tylko na polityce koalicyjnej starego typu. A reforma struktury? Spełzła na niczym i powstało niebezpieczeństwo wyczerpania się ograniczonej, pustej planowości na uzdrowianiu kapitalizmu.

Wielka belgijska partia robotnicza straciła swą sprężystość polityczną i znajduje się w stadium niebezpiecznego zastoju. Dawniej odznaczała się wzorową zwartością; teraz przechodzi poważny kryzys polityczny i ideowy. De Man nie połączył reformizmu z radykalizmem i nie wprowadził nowego czynnego socjalizmu, jak to zapowiadał przed czterema laty. Okazał się neo-reformistą, który świadomie przeciwstawiał się lewemu skrzydłu partii, na którego czele stoją dziś: Vandervelde i Broucke're. Z socjalisty i Europejczyka stał się de Man belgijskim politykiem narodowym, którego adiutant Spaak 'prowadzi zadziwiająco beztroską politykę zagraniczną, dając się wodzić na pasku belgijskim i angielskim konserwatystom. De Man sam wydawał się przez pewien czas zawodowym ministrem, który zatracał się w zarządzaniu swoim resortem finansowym.

W rzeczywistości kierownictwo było wtedy w ręku van Zeelanda, mieszczańskiego polityka, w którego postępowaniu w niezwykły sposób mieszały się wpływy Roosevelta i Brueninga. Miał wspólną z Rooseveltem ideę czynnego zwalczania kryzysu przez planową interwencję państwową i dewaluację, wspólną z Brueningiem pobożność katolicką, ograniczoność w gospodarce, konserwatyzm w polityce i skłonności do autorytatywnego kursu, przy czym Król Leopold miał objąć funkcję Hindenburga. W Belgii można mówić raczej o eksperymencie van Zeelanda niż de Mana.

Kiedy planowość zwyrodniała w czcze hasło, w ideologię, broniącej się w defenzywie partii robotniczej; kiedy jako kapitalistyczny program sanacyjny stała się narzędziem ogólnonarodowej koalicji — planowość znalazła się w niebezpiecznym pobliżu koncepcji ustroju korporacyjnego.

Kryzys belgijskiej gospodarki planowej stał się widoczny. To, że taktyka polityczna de Mana zawiodła, nie dyskwalifikuje jednak idei planowości jako środka polityki socjalistycznej. Politykę de Mana w roku 1937 można zbijać jego własnymi argumentami z 1933 roku. Jak to się jednak stało, że zaniedbał istniejące szanse? Dążył do realizacji, do konstuktywnych rozwiązań i to go skłoniło do zamiany własnego planu, własnej akcji na obcy eksperyment van Zeelanda.

W książce swojej de Man zarzucał reformizmowi, że zwraca szczególną uwagę na taktykę, a pomija strategię, że poświęca wielki cel i wyrzeka się go na rzecz zdecydowanych kroków bojowych o małe zdobycze. Teraz i on przejrzał, że w tej epoce międzynarodowa strategia polityczna ma pierwszeństwo i że jego kraj jest narażony na drugą napaść niemiecką.

Nie można jednakowoż przyjąć, że eksperyment van Zeelanda jest ostatnim słowem de Mana jako polityka: na to posiada za silny intelekt. Rewidował już nie raz swoje poglądy. Teraz, może jako przywódca opozycji socjalistycznej nadać nowy kierunek polityce belgijskiej. Gdy w okresie kryzysu gabinetowego wyłoniła się możliwość objęcia kierownictwa rządu przez de Mana, okazało się, że burżuazja belgijska obawia się go: obawia się jego inteligencji i energii.

LEOPOLD HALPERN

Na zewnątrz i na wewnątrz

To nie jest prawda, że polityka zagraniczna i wewnętrzna mogą iść odrębnymi torami, że w stosunkach wzajemnych pomiędzy państwami nie odgrywają roli względy na ustrój i system wewnętrzno-polityczny kontrahenta. Może działo się tak kiedyś, w względnie spokojnych czasach ubiegłego stulecia, gdv natężenie wewnętrzno-politycznych rozgrywek nie było jeszcze tak wielkie, ale dziś, w dniach namiętnej i obejmującej całokształt życia zbiorowego, walki pomiędzy demokracją a dyktaturą, zasada ta coraz częściej bywa podważana przez życie.

Na zewnątrz i na wewnątrz toczy się walka pomiędzy demokracją, a wszelką dyktaturą. Uczestnikami tej walki są obozy polityczne, ale także państwa. I coraz częściej bywamy świadkami zjawiska: państwa, w których wpływ na rządy znajduje się w ręku stronnictw demokratycznych, także w polityce zagranicznej dążą do demokracji. A demokracja, przetłumaczona na język polityki zagranicznej, oznacza — *pokój*. Państwa zaś, którymi rządzi dyktator, jego klika, czy totalistyczny „obóz", także na zewnątrz pozostają wierne totalizmowi. A totalizm, przetłumaczony na język polityki zagranicznej, oznacza — *wojnę*. Dlatego nie jest żadnym przypadkiem, że ośrodkami, z których biorą dziś źródło wszelkie wichrzenia, konflikty i zatargi międzynarodowe, wszelkie agresje, napaści, interwencje zbrojne i wypowiedziane, czy też niewypowiedziane wojny, są właśnie stolice państw totalnych: *Berlin — Rzym — Tokio*. Podporą zaś równowagi, spokoju, wstrzemięźliwości międzynarodowej i pokoju za wszelką cenę, są właśnie stolice państw demokratycznych: *Paryż — Londyn — Waszyngton*.

Na odbytej ostatnio brukselskiej konferencji 9 państw, podział ten zarysował się z całą wyrazistością. Celem konferencji miało być znalezienie środków zażegnania straszliwej swym okrucieństwem i potwornej rozmiarami, pożogi wojennej, która rozpaliła się na Dalekim Wschodzie pomiędzy Japonią, a Chinami. Inicjatywa wyszła od państw demokratycznych, a ich przedstawiciele czynili na konferencji wszystko, by doprowadzić do pokojowego rozwiązania konfliktu. A jak ustosunkowały się państwa totalne? Czyniły wszystko, by wojna mogła nadal rozwijać się „pomyślnie". Niemcy i Japonia w ogóle odmówiły udziału w konferencji, zaś przedstawiciel Włoch robił w Brukseli co mógł, byle doprowadzić do fiaska pokojowej inicjatywy.

Konferencja brukselska, jak tyle innych podobnych imprez pokojowych z udziałem pryncypialnych przeciwników pokoju, istotnie skończyła się, musiała się skończyć fiaskiem. Celu, w imię którego została zwołana, nie osiągnięto. Ale, jeśli rację ma pewne poważne pismo francuskie, że w Brukseli zarysował się wyraźnie trójkąt Paryż — Londyn— Waszyngton, jako odpowiedź na oś Berlin — Rzym, przedłużoną ostatnio aż do Tokia, to sądzimy, że w tym wypadku osiągnięto w Brukseli znacznie więcej niż spodziewano się i niż zamierzano.

I znowu, niechaj się nie wydaje przypadkiem, że właśnie w przeddzień konferencji brukselskiej, na której Francja, Anglia i U. S. A. wystąpiły w obronie zagrożonego pokoju, w państwach tych odbyły się wybory samorządowe, które wszędzie przyniosły wspaniałe zwycięstwo partiom demokratycznym.

We Francji, w wyborach do ciał reprezentacyjnych samorządu terytorialnego zwyciężyła formacja Frontu Ludowego, a w jej łonie demokratyczni radykali i socjaliści kosztem komunistów. Prawica wyszła z wyborów osłabiona, a radykalni faszyści w stylu *Doriot'a* i *de la Rocque'a* — zdruzgotani. Równocześnie niemal doszło do kompromitacji w wielkim stylu obu niedoszłych mężów opatrznościowych pobitej reakcji francuskiej: płk. *de la Rocque'a*, który *brał* pieniądze i b. premiera *Tardieu*, który *dawał* pieniądze z kasy skarbowej na utrzymanie faszystowskich bojówek.

W Anglii w wyborach komunalnych zwyciężyła Labour-Party, a konserwatyści ulegli znacznemu osłabieniu. Natomiast kierunki totalistyczne — czerwone i czarne, zostały zdruzgotane: przeszedł jeden tylko komunista i ani jeden faszysta. W New-Yorku zaś olbrzymią większością głosów został ponownie obrany burmistrzem *la Guardia*, wsławiony zaciekłą walką, którą prowadzi przeciw nacjonal-socjalizmowi, jego ekspozyturom i agenturom.

A w państwach totalnych osi Berlin-Rzym? Tam nie odbywają się normalne, demokratyczne wybory, odbywać się nie mogą. Nie tylko z formalnego względu, że nie ma między kim *wybierać*, bo do*puszcza* się jedynie listę jednej partii, ale z głębszej przyczyny, biorącej źródło w samej istocie systemu totalnego w dziedzinie polityki wewnętrznej i zagranicznej. Gdyby bowiem dopuszczono masy niemieckie i włoskie do swobodnych wyborów, to nie wiadomo, jak zareagowałyby one na wysyłanie do Hiszpanii dziesiątek tysięcy młodzieży, jako mięsa armatniego dla gen. *Franco*, Tylko za cenę zdławienia przemocą wszelkiej krytyki i swobody w dziedzinie polityki wewnętrznej, może sobie reżym totalny pozwolić na ekstrawagancje, agresje, zbrojne interwencje i podboje w płaszczyźnie polityki zagranicznej. Współzależność pomiędzy polityką wewnętrzną a zagraniczną — uwydatnia się tu w całej jaskrawości.

Walka o demokrację jest walką o pokój. Walkę o demokrację należy czym prędzej doprowadzić do zwycięstwa, bo inaczej świat cały spłonie w pożodze wojennej. Oś Berlin-Rzym, przedłużona do Tokio jest źródłem wszelkich opresji, zamieszek i konfliktów międzynarodowych na całym świecie. Wczoraj z tego źródła wypłynęła tragedia Abisynii, dzisiaj: tragedia Hiszpanii, tragedia Chin, tragedia Palestyny. Stamtąd wychodzą zaborcze inspiracje, stamtąd płyną szeregi „ochotników" dla gen. *Franco* i strumienie złota dla muftiego Jerozolimy.

Bez przewagi i zorganizowanej współpracy państw demokratycznych i pokojowych, któreby były gotowe i zdolne sparaliżować każdy ruch państw faszystowskich i rewizjonistycznych — nie będzie trwałego pokoju na świecie. Walka musi się toczyć na dwóch frontach. Na zewnątrz i na wewnątrz!

J. Majus

Przełom gospodarki światowej

ZAGADNIENIE KRYZYSU.

Niezliczone artykuły ukazały się w ostatnich latach na temat kryzysu, który wstrząsnął do głębi gospodarczymi i politycznymi podstawami świata. I nie zamierzamy tu bynajmniej podawać historii i szczegółowego opisu kryzysu światowego. Jeden zasadniczy i decydujący problem wymaga jednak oświetlenia. Czy ostatni kryzys był zwykłym koniunkturalnym kryzysem, z których niejednokrotnie gospodarka światowa po pewnym czasie samoczynnie emancypowała się, czy raczej dotknął on swym rozmiarem i niespotykanym dotąd zasięgiem samych podstaw dzisiejszych gospodarki, przeradzając się w kryzys *struktury* gospodarczej świata? Długotrwałość i olbrzymi zasięg kryzysu zdają się potwierdzać ostatnie założenie, obecna koniunktura przemawia zaś niejako przeciw niemu.

PRZEKLEŃSTWO RACJONALIZACJI.

Dwie nadzieje, jakie wiązano w niektórych kołach z rozwojem gospodarczym rozwiał nielitościwie ostatni kryzys światowy. Pierwsza wiązała się z wiarą w postęp gospodarczy przez t. zw. „racjonalizację" procesu wytwarzania t. j. zastosowanie najnowszych zdobyczy techniki i naukowego zorganizowania procesu pracy. Lecz praktyczne zastosowanie najbardziej udoskonalonych maszyn i zracjonalizowanie pracy obsady ludzkiej przez zastosowanie najśmielszych ideji „tayloryzmu" (wprowadzenie tzw. „taśmy bieżącej") dało po krótkotrwałej pomyślności wynik wprost przeciwny, niż tego oczekiwano. Maszyna wyparła „człowieka i wyrzuciła na bruk miliony ludzi, pozostawiając ich bez zajęcia. Olbrzymie ilości towarów, produkowane przy coraz mniejszym nakładzie *ludzkiej* pracy a wzrastającym „stałym" kapitale zakładowym nie znalazły nabywców. Cała tragedia niedomagań dzisiejszego ustroju gospodarczego uwidoczniła się w tym nadmiarze dóbr i towarów wszelkiego rodzaju, przepełniających składy a nie znajdujących zbytu, mimo, że dziesiątki milionów ludzi nie zaspokoi swych najprymitywniejszych potrzeb. Rozwój techniki przyniósł klęskę zamiast błogosławieństwa. Ekonomiści zaczęli pisać o „złowrogiej sile maszyny", skazującej na bezczynność miliony robotników. I w pewnym sensie mają słuszność. Jest to rebelia maszyn, bunt sił produkcyjnych ludzkości przeciw dzisiejszym stosunkom gospodarczym, które stały się hamulcem dalszego rozwoju technicznego. Istotnie, poco udoskonalać fabryki, wprowadzać nowe maszyny i potęgować masową wytwórczość, kiedy tylko mała cząstka wyprodukowanych towarów znajdzie zbyt. Jeśli chodzi o rozwój sił produkcyjnych można użyć terminu marksowskiego, o „przemianie ilości w jakość". Mamy zatym do czynienia nie z przemijającym i usuwalnym niedomaganiem lecz z trwałą strukturalną anomalią ustroju gospodarczego, wymagającą daleko idących przemian.

„PLANOWOŚĆ" KARTELI.

Druga teoria, której całą bezpodstawność wykazał kryzys, odnosiła się do roli olbrzymich związków monopolistycznych, trustów i karteli w gospadrce światowej. Nawet część ruchu robotniczego (reformistyczne związki zawodowe) przyjęła tezę o możliwości wprowadzenia planowości w obecną anarchię gospodarki światowej, by zapobiec kryzysom. Kryzys obrócił w niwecz owe wszystkie teorie, powstałe w miodowych miesiącach gorączki racjonalizacyjnej i wysokiej nietrwałej koniunktury. Cała mądrość i przewidująca przezorność trustów i karteli ograniczała się do zgarniania olbrzymich zysków w czasie koniunktury, dążenia do zwalenia skutków kryzysu na słabszych niezrzeszonych przedsiębiorców a nawet niszczenie wielkiej części nagromadzonych towarów, by tylko utrzymać wysokie ceny monopolistyczne.

NA DRODZE DO POPRAWY.

Przeszły jednak lata i światowe zasoby środków spożywczych, wyrobów tekstylnych i metali zmalały, wzrósł popyt na surowce i cyfry produkcji poszły znów w górę. W r. 1935 osiągnęła produkcja światowa poziom o 13% tylko niższy od 1929 r., tego roku najwyższego rozkwitu przedkryzysowego, a w r. 1936 cały szereg gałęzi przemysłowych przekroczył o wiele ówczesny poziom. Rozwój ten nie zatrzymał się, ogółem biorąc, też w bieżącym roku. Wydawałoby się zatym, że ostatni kryzys, mimo gigantycznych rozmiarów, był tylko zjawiskiem koniunkturalnym, usuniętym po pewnym czasie przez automatyzm ekonomicznych praw gospodarki. Sprawa ta po bliższym zbadaniu nie przedstawia się jednak tak symplicystycznie. Przede wszystkim należy zanotować fakt, że poprawa gospodarcza rozdziela się całkiem *nierównomiernie* na rozmaite obszary. Niektóre kraje przekroczyły już o 20—30% a czasem i więcej poziom produkcji z 1929 r. a inne nawet jeszcze go nie osiągnęły.

UPRZEMYSŁOWIENIE KRAJÓW ROLNICZYCH.

Silny rozwój przemysłowy wykazują *kraje rolnicze* (Węgry, Grecja, Finlandia, Jugosławia i t. d.). Załamanie się światowych cen surowców w czasie kryzysu pociągało je do inwestycji przemysłowych we własnym kraju, obliczonych na zaspokojenie potrzeb wewnętrznego rynku. Miało to także być lekarstwem na bolączkę własnego bezrobocia. Ale dawał się we znaki brak środków pieniężnych na finansowanie planowanych zakładów przemysłowych. Kredyty zagraniczne, które dawniej były potężnym czynnikiem rozwoju krajów agrarnych, nie wchodzą obecnie w rachubę przy ogólnym braku zaufania i ogólnej tezauryzacji kapitałów na skutek kryzysu. Zamiast zagranicy przyszła pomoc własnego *państwa*. Wysokie ochronne stawki celne, subwencje ze środków publicznych i nacisk na płace robocze miały zapewnić rentowność nowozakładanych przedsiębiorstw. Przeważały wśród nich gałęzie pracujące dla bezpośredniego masowego spożycia, jak produkcja wyrobów tekstylnych, obuwia, skór, wyrobów drewnianych i t. d. Wpływ tych nowych zakładów na gałęzie eksportowe krajów przemysłowych okazał się fatalnym. Np. przemysły tekstylne w Anglii, Czechosłowacji, Belgii i Szwajcarii popadły z tego powodu w stan chronicznego kryzysu, z którego Anglia próbowała wydostać się przez zniszczenie 10 milionów wrzecion a Francja i CSR przez przymusową syndykalizację przedsiębiorstw i wyznaczanie kwot produkcyjnych. Potężnie rozszerzony w czasie kryzysu przemysł bawełniany Japonii i nowy australijski przemysł wełniany zwężają coraz bardziej zbyt europejskich wyrobów tekstylnych.

AGRARYZACJA KRAJÓW PRZEMYSŁOWYCH.

Z drugiej strony *kraje przemysłowe* dążyły do powetowania sobie utraty zbytu swych wyrobów zagranicą przez ograniczenie wwozu płodów rolnych i zwiększenie własnej produkcji rolniczej. W latach 1928—34 wzrosła w europejskich krajach importujących zboże produkcja pszenicy o 20%, podczas gdy w dunajskim obszarze zbożowym i w czterech głównych zamorskich krajach eksportowych spadła ona w równym okresie o tyleż samo!

Podobnie działo się w przybliżeniu i z innymi płodami rolnymi. W ogóle zaczęło przeważać dążenie do wypełnienia wszelkich luk powstałych w eksporcie zwiększeniem własnej produkcji artykułów, które dawniej przywożono. Wysokie pozycje świadczeń państwa na bezrobotnych potwierdzały opłacalność subwencji dla przemysłu i rolnictwa oraz wysokich cen, jeśli te wpływały pozytywnie na rynek pracy i odciążały tymsamym odpowiednie pozycje w budżecie państwowym. W krajach zaś, gdzie do silnego bezrobocia dołączył się jeszcze brak dewiz i kredytów, oceniano za słuszne z ekonomicznego punktu widzenia wszystko, co zmniejszało zobowiązania płatnicze w gotówce wobec zagranicy. W miejsce gotowych fabrykatów zaczęto zatym importować półfabrykaty i przerabiać na miejscu, nad import tych ostatnich przekładano znów surowce. Gdzie można było surowce zagraniczne zastępować namiastkami, nawet kosztownymi, nie cofano się i przed tym, byle tylko usamodzielnić się od przywozu z zagranicy. Polityka celna i reglamentacyjna (kontygenty przywozowe, clearingi) tych państw stała całkowicie na usługi tego nieprzepartego dążenia do autarkii, powstałego na podłożu kryzysu światowego i powodującego dalsze osłabienie międzynarodowych stosunków gospodarczych.

KAPITALIZM PAŃSTWOWY.

Rozstrzygającą rolę w polityce gospodarczej ostatnich lat odegrało *państwo*, występujące często nietylko jako regulator ale też jako samodzielny czynnik gospodarczy. Nazewnątrz wytworzyła ta interwencja państwa w interesie dążeń autarkicznych prawdziwą „wojnę wszystkich przeciw wszystkim", do której po dewaluacji funta szterlinga i dolara dołączyła się też ogólna niepewność walutowa. Nawewnątrz — biurokratyczne kierowanie gospodarką narodową przez organa państwowe, hamujące inicjatywę prywatną i docnodzące w takich np. Niemczech czy Italii — do absurdalnych granic kapitalizmu państwowego.

CZY ZMIERZCH GOSPODARKI ŚWIATOWEJ?

Te przemiany strukturalne gospodarki poszczególnych państw odzwierciedlają się w *zmienionej strukturze handlu światowego*. Wzrosły obroty surowcami lecz światowy handel środkami spożywczymi i gotowymi lub półfabrykatami pozostaje znacznie w tyle. Jest to logicznym następstwem dążenia do autarkii i gorączkowych zbrojeń pochłaniających olbrzymie ilości surowców i metali. Międzynarodowy podział pracy należy już w dużej mierze do przeszłości. Stoimy dziś przed faktem postępującego naprzód *rozkładu gospodarki światowej* rozpadającej się na luźne jednostki gospodarcze, których „samowystarczalność" jest jednak nienaturalna i nadzwyczaj kosztowna. Już wyłączenie Związku Sowieckiego z orbity stosunków normalnej wymiany gospodarczej była dotkliwą stratą dla gospodarki światowej, najnowsze dążenia autarkiczne pozostałych państw zadają jej jednak ostateczny cios. Jeśli rozwój pójdzie dalej w tym samym kierunku trudno będzie wkrótce mówić w ogóle o *gospodarce światowej* jako takiej.

GOSPODARKA KRAJÓW FASZYSTOWSKICH.

Szczytowy punkt tego rozwoju w kierunku autarkii i wszechwładnej ingerencji państwa w życie gospodarcze osiągnęły państwa dyktatury faszystowskiej. Na innym miejscu zanalizowaliśmy szczegółowo sytuację gospodarczą III. Rzeszy*), jako typowy przykład koniuktury *wewnętrznej* nakręcanej i podtrzymywanej przez państwo przy pomocy olbrzymich zamówień zbrojeniowych i finansowanych na podstawie karkołomnych operacyj finansowych. Wiele podobieństwa z III-cią Rzeszą wykazuje też gospodarka Włoch faszystowskich. Jak tam tak i tu ścisła kontrola państwa, wyczerpanie pojemności wewnętrznego rynku pieniężnego ciągłymi pożyczkami na roboty publiczne i zbrojenia, duże cyfry zatrudnionych w produkcji przy głodowych płacach roboczych i tłumieniu terorem najmniejszych objawów niezadowolenia ze strony ludności. Wojna abisyńska miała zaspokoić imperialistyczne ambicje Włoch a przede wszystkim przełożyć napięcie wewnętrzne, które zaczynało być niebezpieczne dla reżymu, na inne tory. Przeprowadzenie ekspedycji abisyńskiej było jednak możliwe tylko przy najwyższym napięciu sił gospodarczych kraju i przejdą jeszcze lata, aż Włochy będą w stanie zacząć wykorzystywać owoce swego zwycięstwa. Podobnie jak w Niemczech inwestowano i tu wielkie kapitały w kosztowną produkcję namiastek surowcowych byle tylko dopiąć upragnionej niezależności od światowego rynku. Jest to jednak eksperyment nietylko nadzwyczaj kosztowny, ale prowadzi też gospodarkę tych krajów w ślepą ulicę. Najmniejszy wyłom w murze reglamentacyj i nakazów odgradzających te kraje od rynku światowego zdewaluuje w okamgnieniu olbrzymie kapitały inwestowane w przemyśle zastępczych surowców i narazi gospodarkę narodową na niepowetowane straty. Dlatego też z drogi tej na którą weszły Niemcy i Włochy jest powrót tak trudny. Kraje te znajdują się w stadium zrywania ostatnich więzów łączących je jeszcze z gospodarką światową. Zbrojenia i przygotowywanie wojny totalnej ma być w ich ręku ostatnim atutem przed zupełnym bankructwem gospodarczym.

TAJEMNICA ŚWIATOWEJ POPRAWY GOSPODARCZEJ.

Czyż można się tedy dziwić, że i inne państwa nie pozostają w tyle w zbrojeniach i że „wyścig pracy" obecnej koniunktury jest prawie wyłącznie wynikiem światowego wyścigu zbrojeń? Wysokie spożycie żelaza, stali, metali kolorowych, wysokie cyfry produkcyjne przemysłu zbrojeniowego, wzrost zatrudnienia w skali światowej i równocześnie ogromna przewaga produkcji ciężkiego przemysłu nad produkcją środków spożywczych nie jest rzeczą przypadkową. Gdyż *obecna koniunktura światowa jest w dużej mierze koniunkturą zbrojeniową* i to nadaje jej ów chorobliwy i nietrwały charakter, podkreślany przez ekonomistów wszystkich bez wyjątku kierunków. Groźne memento ubiegłego kryzysu nie umilkło po dziś dzień.

A POLSKA?

Jak nadmieniliśmy, weszła Polska stosunkowo później niż inne kraje w fazę poprawy gospodarczej. Poprawa ta, jakkolwiek nie osiągnęła jeszcze zupełnie poziomu przedkryzysowego jest jednak ciągła i niezaprzeczalna. Nowe inwestycje przemysłowe dokonywane ostatnio z wielkim rozmachem i prawie bez pomocy kredytów zagranicznych wskazują na wewnętrzne wzmocnienie gospodarcze. Wskaźnik produkcji przemysłowej osiągnął w sierpniu b. r. cyfrę 85 (przy stanie za 1928 — 100). Ceny kosztów utrzymania wahają się mniejwięcej na równym poziomie. Wskaźnik zatrudnienia rośnie i osiągnął w czerwcu b. r. 90,6 (wobec 1928 — 100).

Nie rozwiązuje to jednak jeszcze kwestii bezrobocia miejskiego, które wciąż jest jeszcze duże, a gdyby nawet wszyscy bezrobotni miast zostali zatrudnieni pozostałoby kilka milionów bezrobocia na wsi, ciążącego jak zmora na życiu gospodarczym Polski. Albowiem naczelnym problemem gospodarczym Polski jest *zbiorowa nędza wsi*, konieczność przebudowy wadliwego ustroju rolnego. Kraje takie jak Polska, mające duże zadatki i możliwości rozwoju przemysłowego a zarazem strukturę przeważnie agrarną mogą przy sprzyjających warunkach zewnętrznych rozwinąć w pełni swe możliwości gospodarcze tylko pod warunkiem rozwiązania problemu rolnego.

Na nędzę chłopa nic nie pomoże osławiony żydowski stragan małomiasteczkowy, na ożywienie wymiany między miastem a wsią nie wpłynie „odżydzenie" handlu, propagowane demagogicznie w polskich nacjonalistycznych kołach jako lekarstwo na wszystkie bolączki polskiego życia gospodarczego. Żadne frazesy i zwodnicze hasła nie potrafią przesłonić tej kardynalnej prawdy polskiej rzeczywistości gospodarczej.

WIELKA ALTERNATYWA.

Jak wynika zatym z obrazu obecnej sytuacji gospodarczej świata, nie uwolniła się ona jeszcze całkiem od skutków ostatniego kryzysu. Poprawa gospodarcza rozłożona jest niejednolicie, decydującym jej czynnikiem są gorączkowe zbrojenia wszystkich państw i dlatego ma charakter nietrwały, jakkolwiek może jeszcze przejść kilka lat względnego postępowego rozwoju. Krańcowe dążenia autarkiczne państw totalnych przede wszystkim wyłączają je ze splotu międzynarodowych stosunków gospodarczych, potęgując zarzewie przyszłych konfliktów.

Wobec rozproszkowania gospodarki światowej i wynikającego stąd niebezpiecznego napięcia politycznego należy powitać każdy krok zmierzający do wzmocnienia współpracy międzynarodowej, ożywienia międzynarodowych stosunków gospodarczych, przywrócenia zaufania i zliberalizowania gospodarki światowej, duszącej się w powijakach murów celnych i wszelkiego rodzaju ograniczeń. Czy wielkie demokracje świata, od których przede wszystkim należy oczekiwać rozwiązania tego problemu, zdobędą się jednak na to? Jak dotąd — próby takiej nie uczyniono. Chwilowo decyduje jeszcze hasło „carpe diem" koniunktury nietrwałej i nienaturalnej w samych swych założeniach. Nad światem unoszą się opary zbrojeń, budząc grozę jutrzejszego dnia.

*) „Zbrojne pogotowie Niemiec", Ster Nr. 38.

LION FEUCHTWANGER

Arnold Zweig

(10.XI.1887 — 10.XI.1937)

1.

Modnym było swego czasu pomniejszanie wartości literatury emigracji niemieckiej. Niezwykłe zainteresowanie, jakie jej najwybitniejsi przedstawiciele wzbudzili w całym świecie przypisywano wyłącznie temu, że są bezdomni. Gdy się teraz w związku z pięćdziesięcioleciem urodzin Arnolda Zweiga rzuci okiem na twórczość jednego z wielkich przedstawicieli niemieckiej literatury antyfaszystowskiej stwierdzimy, że nie zbyt obiektywne są tego rodzaju uwagi. Jak bogata jest ta twórczość, jak pełna; i o ile bogatszą i pełniejszą stała się w ciągu ostatnich gorzkich lat wygnania. Błogosławiona to droga, którą przeszedł Arnold Zweig od estetyzujących nowel z początku swej twórczości do cyklu powieści: „Der grosse Krieg der weissen Männer", nad którym teraz pracuje. Gdy się śledzi za tym rozwojem, wydaje się, że to jakaś świadoma celu ręku pchnęła powieściopisarza na ciernistą drogę do doskonałości.

Historyk literatury stwierdzi przede wszystkim, że Arnoldowi Zweigowi pierwszemu przypada w udziale zasługa napisania niemieckiej sztuki aktualnej, a mianowicie: „Ritualmord in Ungarn", a dalej, że Zweig jest pierwszym Niemcem, który napisał wielką powieść wojenną p.t. „Der Streit um den Sergeanten Grischa".

Mówi to nam jednak mało o Arnoldzie Zweigu, bo jego twórczość jako całość charakteryzuje różnorodność i pełnia. Kto zna jedną lub dwie sztuki, jedną lub dwie powieści Arnolda Zweiga — wie o nim bardzo mało. Zweig pisał tragedie i komedie, sztuki historyczne i aktualne, duże i małe powieści; napisał bez liku drobnych opowieści, jednoaktówek, wiele szkiców literackich politycznych i biograficznych; tworzył i tłumaczył wiersze, opublikował liczne mowy. Zweiga cechuje żywiołowa fantazja, niebywała lekkość pióra. Jest to ogromna zaleta, która jednak zawiera w sobie ukryte niebezpieczeństwo: zmusza bowiem pisarza do rozpraszania się. Jesteśmy Zweigowi wdzięczni za jego małe dzieła sztuki, którymi nas obdarował, wiele z nich jest mistrzowskich: nowela „Die Bestie", albo słynna mowa o Rathenau czy piękny szkic o Brechcie lub głębokie acz jasne rozprawy o Zygmuncie Freudzie. Kto jednak kocha i uwielbia Zweiga, pragnie, by wielki powieściopisarz całą swą energię niepodzielnie poświęcił głównemu dziełu, temu właśnie na siedem powieści obliczonemu cyklowi „Krieg der weissen Männer".

2.

Z drugiej strony ta fantazja żywiołowa, ta jasność w kojarzeniu nadaje powieściom Zweiga prawie balzacowską pełnię. Coraz to nowi ludzie ukazują się w jego książkach. Wystarczy dwa zdania — a oto już są, już te postaci żyją, zdarzenia się wiążą, rozplątywują. Jak puszczone w ruch marionetki pędzą ci ludzie przez góry i doliny, a całość — nie traci pomimo to swego centrypetalnego charakteru. Nic nie traci związku z główną ideą i głównym przeżyciem.

Rzadko kto w literaturze niemieckiej umie opowiadać tak jak Arnold Zweig: posiada wrodzoną zdolność snucia fabuły, — zdolność, która tak nie wielu przypadła w udziale. Szczęściem jest poprostu słuchać, gdy Zweig opowiada, jak obmyśla fabułę przyszłej powieści. Jak się tam wszystko ze sobą wiąże, jak się wątki nawzajem zazrębiają, jak się nagle wyłaniają postaci — to są już czary, czarowna sztuka twórcy. A przychodzi mu to wszystko bez trudu.

Zweig opowiada, opowiada płynnie, godzinami, widzi się nieomal, jak następują po sobie skojarzenia. Tak mogli tylko opowiadać, zgromadzonym przy studni zdumionym słuchaczom, poeci arabscy i perscy. Tylko że u naszego, tak bardzo zachodniego, Arnolda Zweiga ludzie i zdarzenia nie są oderwanymi tworami. Nie, postacie zweigowskich powieści w żadnym razie nie są nadpowietrznymi zjawami; są one ludźmi naszych czasów, są tobą i mną, ich losy — to twoje i moje losy: to wojna i jej następstwa.

Tak, wojna, w której brał udział na obydwu frontach, jest jednym z dwóch podstawowych przeżyć Arnolda Zweiga. Drugim przeżyciem jest poznanie Zygmunta Freuda. Droga do socjalizmu, na którą Zweig wkroczył, zaczyna się od tych wielkich przeżyć. Jest więc socjalizm, o którym pisze Zweig głęboko przemyślanym, a nie papierowym, zaczerpniętym z książek. I dlatego oddziaływa tak przedmiotowo i tak realnie.

Ludzi Zweiga oglądamy od wewnątrz i od zewnątrz. Widzimy, że to ludzie z krwi i kości, że każdy z nich żyje według własnych praw. Jakaś przemożna siła kierująca obraca ich ciągle dokoła tajemniczej osi. Oś ta nie ma nazwy, ale bezsprzecznie istnieje: jest nią przeświadczenie Zweiga o zależności duszy człowieka od jego przeżyć wewnętrznych i od jego pozycji w otaczającym go świecie.

3.

Spróbujmy pokazać, w jaki swoisty sposób Zweig rozwiązuje wielkie problemy, przed którymi staje, jak potrafi w atomie ukazać kosmos. Rozpatrzmy to na przykładzie owej powieści wojennej, która go uczyniła sławnym: „Sierżant Grisza". Celem Zweiga było przedstawić w tej powieści wszystko, co widział i odczuwał na wojnie. Ale nie próbował, rzecz jasna, dać całego przekroju wojny, nie chciał napisać powieści historycznej z wszystkimi rekwizytami heroizmu, pacyfizmu i rewolucji. Opisał zgon niepozornego człowieka, atomu, jednego z czterdziestu milionów umundurowanych, napisał historię o sierżancie Griszy Iljiczu Paprotkinie.

Arnold Zweig opisuje więc drobne przeżycie z wielkiej wojny. Ostrożnie tylko dotyka socjalnego i historycznego tła. Ale wielki epik, którym Zweig bezsprzecznie jest, wtłacza to małe zjawisko w inne związane z nim wielkie wydarzenia. Podkreślając wciąż atomowość tego zjawiska, nie zrywa jednak żadnej nici, wiążących z wielkim wydarzeniem. Ukazuje organizm w szczególe, kosmos w atomie.

Jest to naprawdę epika na wielką skalę — przedstawić nietylko jak żyją setki ludzi, ale i ich zainteresowania, ich świat i świat ówczesny — w ogólności. Niezwykła mądrość artystyczna Zweiga nie pozwala mu dać się porwać szczegółowi, szafuje twórczo na wsze strony ciepłem i jasnością, każdego po trochu nią darzy. Wszystkie żyjące istoty, samowładcy, wielcy przemysłowcy, lub na okupowanym obszarze, siostry miłosierdzia, ordynansi, motłoch wszelkiego rodzaju, cały potężny mechanizm wojny, małe i duże zwierzęta leśne — wszystko to żyje, a jednak tylko dokoła nieszczęsnego, skazanego na śmierć Griszy. Jasno ukazuje się tu dośrodkowa technika Zweiga, o której przed tym mówiłem. Jakaś arcysprawiedliwa sztuka przenosi w błyskawicznym tempie poszczególne stany duchowe z jednych osób na drugie tak, że na każdego zewsząd padają snopy światła. Całe światło zaś skupia się wokoło, postaci Griszy.

Można wykazać, że w podobny sposób w powieści „Erziehung vor Verdun" w poszczególnych losach zawarta jest socjologia wojny, walka klas w okopach, świadomość intelektualistów, że ich los jest związany z losem proletariatu. I już dzisiaj, chociaż plan potężnego cyklu powieściowego „Der Krieg der weissen Männer" zrealizowany został dopiero w trzech wycinkach, znać kunsztowne zarysy całego systemu, w którym poszczególne powieści krążą dokoła głównej idei jak planety dokoła słońca.

4.

Potrzeba wiele odwagi, by podjąć się takiego na dziesiątki lat obliczonego zadania, jak stworzenie cyklu powieści. Jeśli chodzi o Arnolda Zweiga, wymaga to podwójnej odwagi, gdyż bardziej niż komu innemu utrudniają mu zadanie przeszkody zewnętrzne. Oko jego nie jest już niezawodne, rzadko pozwala mu pisać, a prawie nigdy czytać. Do tego dodać należy, że osiadł w Palestynie, w kraju, ciągłych wstrząsów politycznych, gdzie trudno jest pisarzowi stać zdala od partii.

Arnold Zweig ma lat 50, jest u zenitu swej siły pisarskiej. Spełnił już trudniejszą połowę wielkiego zadania, jakie sobie postawił. Nie wątpimy, że spełni i to, co mu jeszcze do zrobienia pozostało.

J. Bleiberg

„Duch aryjski" na fali 216,8...

(NA MARGINESIE AUDYCJI, POŚWIĘCONEJ TWÓRCZOŚCI TAGOREGO).

Dziwne i paradoksalne są dzieje mitu aryjskiego. Potwierdzają one raz jeszcze słuszność poglądu, że nie idea kształtuje i urabia człowieka, ale raczej człowiek — ideę, której istotny sens często wypacza i zniekształca dla celów nic z nią nie mających wspólnego. Najpiękniejsza koncepcja wyradza się wówczas w groteskowy twór, dyskredytujący swój pierwowzór i podrywający wiarę w jego wartość i możliwość realizacji. Historyczna geneza mitu aryjskości sięga schyłku 18 stulecia, kiedy dzięki działalności t. zn. Asiatic Society Europa poznała w sanskryckim oryginale acydzieła literatury staroindyjskiej. Wywołały one powszechny entuzjazm, równy w swym natężeniu zapałowi humanistów dla duchowej spuścizny świata klasycznego. (Ob. pracę prof. Schayera o literaturze indyjskiej w Wielkiej Literaturze Powszechnej Trzaski, Everta i Michalskiego). Entuzjazm dla nowoodkrytego, egzotycznego świata kultury praaryjskiej był najsilniejszy w Niemczech, gdzie poeci i uczeni tej miary co Goethe, Schiller, Schelling, Herder, Humboldt, Schopenhauer, Schlegel i inni, wyrażali się o niej w najwyższych superlatywach, wypowiadając sądy, skorygowane już dziś przez naukę jako przesadne i niezupełnie ścisłe. Podziwiali oni nie tylko swoiste piękno literatury i sztuki hinduskiej, ale także oryginalność i bogactwo ideowe hinduskich systemów religijnych i filozoficznych, w których, nie bez racji, widzieli najwspanialszy przejaw humanizmu i ogólnoludzkiej etyki, wynosząc je przeto ponad judaizm i chrześcijaństwo. Bo też istotnie nigdzie indziej idea wszechludzkiej solidarności nie znalazła tak pięknego i wspaniałego wyrazu jak w niektórych hinduskich religijnych i filozoficznych koncepcjach jak np. w buddyzmie i systemie filozoficznym, opartym na religijnych hymnach, t. zw. Upaniszadach, co nie przesądza, oczywiście, sprawy ich praktycznej wartości i możliwości zastosowania w życiu jednostki i społeczeństwa. Znamienny dla nich czysty, bezwzględny idealizm, idący w parze z ascetyczną i kwietystyczną (bierną) postawą wobec świata zewnętrznego jest niewątpliwie życiowo nierealny i dlatego tak obcy dla umysłowości europejczyka. Nie mniej przeto posiadają one wartość pomników duchowej kultury, które na 10 wieków przed naszą erą osiągnęły szczyty uniwersalistycznej etyki i najwznioślejszego humanitaryzmu.

Z pośród ogromnej i różnorodnej twórczości religijno - filozoficznej Hindusów, najbardziej filozoficznego narodu w starożytności, przedmiotem największego podziwu była główna idea wymienionych już wyżej Upaniszadów, najbardziej klasycznego zabytku myśli staroindyjskiej, uważanego przez entuzjastów hinduizmu za najczystszy przejaw aryjskiego ducha. Centralną ideą Upaniszadów jest zasada bezwzględnej jedności wszechrzeczy (monizm zupełnej tożsamości ludzkiej jaźni (Atman) z przenikającym wszechświat Bóstwem (Brahman). Wszechbyt i dusza ludzka są jednym i tym samym. Najwyższym i ostatecznym celem człowieka jest uświadomienie sobie tego kosmicznego pokrewieństwa z całym istnieniem, które w nim się zawiera. W głębi bowiem duszy jest wszystko — cały wszechświat. Gdy człowiek przy pomocy zadumy i kontemplacij osiągnął już tę monistyczną świadomość związku z wszechbytem, niepotrzebna mu już etyka — kodeks moralny w europejskim znaczeniu wyrazu. Miłość bliźniego jak i w ogóle Natury, która staje się dla człowieka „Wielkim Bliźnim", nie jest wówczas rezultatem narzuconego nakazu, nie kocha on dla uzyskania nagrody lub z obawy przed karą, lecz w świadomości, że wszystko co jest poza nim stanowi również i jego istotę, a „przecież nikt nie może siebie samego krzywdzić". Wzniosła nauka świętych hymnów hinduskich, czyniąca zbędną bezprzedmiotową wszelką moralność ,będąca niejako po za dobrem i złem i podnosząca człowieka na najwyższe szczyty duchowej doskonałości, była główną ideologiczną bazą całej późniejszej religijno-filozoficznej spekulacji Hindusów. Pozostawała ona w rażącej sprzeczności z formami kultu i rytuału religji ludu, bijącej rekord fanatyzmu, zabobonności i społecznego konserwatyzmu (kastowość). Absolutną bezinteresowność zawartej w Upaniszadach integralnej etyki przeciwstawiał Schopenhauer żydowsko-chrześcijańskiej moralności, opartej, jego zdaniem, na zimnej, interesownej kalkulacji dawania i brania, bo operującej czysto-ludzkimi kategoriami nagrody i kary, wyrażając się przy tym o hymnach hinduskich w słowach następujących: „Es ist die belohnendste und erhabenste Lektüre,die auf dieser Welt möglich ist; sie ist der Trost meines Lebens gewesen und wird der meines Sterbens sein".

Zreferowana przez nas koncepcja ducha aryjskiego, upatrująca jego istotę w najczystszym etycznym idealizmie, w ideologii, par excellence ogólno-ludzkiej, której obcy jest nie tylko nacjonalizm, ale i wszelkie w ogóle różnicowanie ludzi z jakiegokolwiek punktu widzenia, ustąpiła w dalszym swym rozwoju miejsca zupełnie innemu, wręcz przeciwnemu pojmowaniu „czystej aryjskości". Mamy na myśli aryjsko-germańską tezę, nawiązującą do wojowniczości pierwotnych Arjów — zdobywców Indostanu i pogromców tubylczej ciemnoskórej ludności drawidyjskiej. Nie w całej późniejszej twórczości duchowej Hindusów, wyrosłej zresztą na mieszanym etnicznie podłożu aryjsko-drawidyjskim, lecz w samym fakcie podboju, sięgającego początków drugiego tysiąclecia przed Chr., upatrują wyznawcy tej drugiej odmiany mitu aryjskiego istotę prawdziwego, rasowo nieskażonego „aryjskiego ducha". Pogląd ten, skojarzony z „nauką" Hr. Gobineau o nierówności ras i „historiozofią" Chamberlaine'a, zawartą w jego dziele „Die Grundlagen des 19 Jahrhunderts" i rozwiniętą przez proroka hitleryzmu Alfreda Rosenberga, stworzył ideologiczny potworek i pseudonaukowy idiotyzm dzisiejszego rasizmu, którego baza antropologiczna podana została druzgocącej krytyce w wywiadzie, zamieszczonym w „Sterze". Sądzimy zresztą, że się mu w ogóle czyni zbyt dużo honoru przez ciągłe wykazywanie jego niedorzeczności. Tak oto, powstały w ubiegłym stuleciu mit aryjski, przeszedł znamienną i pouczającą ewolucję: od postaci uniwersalistyczno - idealistycznej do rasistowsko-nacjonalistycznej, oddanej na usługi niemieckiego imperializmu, militarnej ekspansji pierwszych „aryjczyków" w Europie, dziedziców heroizmu starożytnych Ariów....

Nie ulega wątpliwości, że pierwsza, uniwersalistyczna koncepcja „ducha aryjskiego" bliższa jest historycznej prawdy od koncepcji germańskiej. Starożytnym Indiom, ojczyźnie Buddy i Upaniszadów, nawołującym do solidarnej walki wszystkich z ziemskim złem i męką istnienia, obca była nienawiść nie tylko do ludzi, ale i do wszelkiej żywej istoty. Niemniej przeto samo pojęcie „ducha aryjskiego" lub kultury „aryjskiej" nie posiada charakteru naukowego. Są to mniej lub więcej ścisłe ogólniki, dowolne skróty, nie obejmujące bynajmniej całej złożoności, tak skomplikowanego w swych przejawach i historycznym rozwoju, zjawiska, jakim jest kultura staroindyjska. Jak to wykazał wybitny polski indolog prof. St. Schayer w cytowanej już wyżej pracy, czystość rasowa owych pierwszych przodków aryjskich jest fikcją, pozbawioną jakichkolwiek podstaw. Zdobywcy aryjscy zaasymilowali się bowiem rasowo z miejscową ludnością drawidyjską. Także ich kultura była syntezą aryjsko-drawidyjską.

Ukształtowane w ubiegłym stuleciu dwie różne odmiany mitu aryjskiego mają swych współczesnych kontynuatorów. Odmianę rasistowską rozwinął hitleryzm, ogólno-ludzka zaś znalazła apostoła i wyznawcę w genialnym wieszczu nowych Indji, Rabindranacie Tagorem, którego poezji poświęcona była audycja, nadana w sobotę 30/X. ze stacji Warszawa II, poprzedzona słowem wstępnym prof. Schayera. Tagore jest kontynuatorem najpiękniejszych humanistycznych tradycji hinduizmu, reprezentuje „aryjskość" w najwspanialszym i najwznioślejszym znaczeniu wyrazu. W swojej pracy filozoficzno-religijnej „Sadhana" modernizuje, uwspółcześnia, nie bez uszczerbku dla historycznej prawdy, wielkie idee Upaniszadów, wykazując, że mądrość starohinduska nie jest bynajmniej, jak to się powszechnie mniema, obca potrzebom i zadaniom życia. Klasyczny w swym rodzaju pesymizm hinduski ulega pod piórem bengalskiego wieszcza jakiejś cudownej metamorfozie w optymistyczne, radosne potwierdzenie życia, urzeczywistniające się nie tylko w miłości, ale i w pięknie. Myśl o Nirwanie (wygaśnięciu-nicości) przekształca się w dążenie do pełnej realizacji wszystkich twórczych możliwości ludzkiego bytowania. Tagore — aryjczyk nie zna różnicy ras i narodów. W pięknym, cytowanym w audycji „Hymnie do Indii" roztacza poeta wspaniałą wizję pielgrzymki pojednawczych ras i narodów do Indii, — „brzegu oceanu narodów".

Wizja hinduskiego „aryjskiego" poety przywodzi na pamięć marzenie o wiecznym pokoju „semity" Jezajasza. Na wyższych bowiem szczeblach kultury, jakie reprezentują Poeta i Prorok istnieje, jak powiada Tagore, jedna tylko historia, historia — CZŁOWIEKA. Trudno chyba o piękniejszy komentarz do pieśni „semickiego" biblijnego wieszcza, od tego, jaki zawierają następujące słowa „aryjskiego" poety: Widomą Nieba wolą jest, byśmy w sercach naszych urzeczywistniać poczęli Prawdę o braterskiej jedności wszystkich narodów i ras, albowiem ta tylko Prawda pokój ludziom przyniesie." (Ze wstępu do polskiego przekładu pracy pt. „Nacjonalizm"). Dopełnieniem i dalszym niejako ciągiem, pięknej audycji ku czci Tagorego była transmisja z Londynu (w środę3 b. m.) IX Symfonii Bethovena. Zarówno bowiem muzyka twórcy „Eroiki" jak i poezja autora „Pieśni ofiarnych", przeniknięte są „aryjskim" duchem wszechludzkiego braterstwa, którego najwspanialszą muzyczną apotezą jest zamykający „Dziewiątą" — Hymn do radości.

Dr. Stefan Rumelt

Czy Bałucki był Żydem?

(W setną rocznicę jego urodzin)

29 października b. r. minęło sto lat od śmierci Michała Bałuckiego. Rocznica ta minęła w Polsce prawie bez echa poza nieudaną audycją radiową z Krakowa i kilkoma wzmiankami dziennikarskimi. A przecież z okazji setnej rocznicy warto było zastanowić się nad tym, jakie trwałe wartości pozostawił ten tak kiedyś modny i lubiany komediopisarz. Jeśli dzisiaj żyją na scenie „Grube ryby", „Dom otwarty", „Klub kawalerów" i in., to oznacza, że dzisiejsze czasy sprzyjają renesansowi komedii w rodzaju, reprezentowanym przez Bałuckiego.

Jak wiadomo, główną zaletą komedii Bałuckiego jest swojskość charakterów, sytuacji, środowiska i obyczajów. Cecha ta nabiera tym większego znaczenia w porównaniu z całą polską komedią pofredrowską, bardzo mało (z wyjątkiem Blizińskiego) charakterystyczną dla oblicza narodowego Polski XIX w. Giełdziarze, fałszerze, dorobkiewicze czy bankruci, tak chętnie w owych czasach opisywani, posiadają cechy kosmopolityczne nawet w komediach Zalewskiego, Lubowskiego, Sarneckiego czy Narzymskiego, wzorowanych na komediach i farsach francuskich. Stwierdza to zresztą Piotr Chmielowski, twierdząc, że „Bałucki i Biziński są tu już wyjątkami" (mowa o cechach narodowych). Wiemy wszyscy, że autor „Grubych ryb" jako piewca krakowskiego mieszczaństwa opisał takie tylko postaci i obyczaje, jakie spotkać możemy w środowisku ludzi, należących do jednej narodowości. Otóż ta „bryła najbardziej rodzimego złota", samorodny i oryginalny pisarz, opiewał szare życie codzienne, przeciętny żywot łyków galicyjskich pustymi słowami, przez co żywo przypomina dzisiejsze tendencje „literatury faktu", „faktomontażów" dokumentaryzmu etc. Tylko to się wtedy nie nazywało tak modnie, lecz po prostu „obrazek z natury" lub nawet „fotografią z natury". Nie wszyscy natomiast o tym wiedzą, że Bałucki był również gorącym wielbicielem życia sielskiego, ziemiańskiego („Sąsiedzi", „Ciężkie czasy", „Komedia z oświatą", „Sprawa kobiet", zresztą komedie słabsze): dożynki, mazury, polonezy, kadryle, bankiety szlacheckie, krytyka lekkomyślności i rozrzutności szlacheckiej. Krótkowzrocznej polityki życiowej, opieranie jowialności i gościnności ziemiańskiej — te wszystkie zjawiska obyczajowe (obok mieszczańskich tańców, ceremoniałów mieszczków krakowskich, czepowin etc.), utrwalone przez Bałuckiego, są nieoszacowanym skarbem i cennym nabytkiem narodowej komedi polskiej.

Umyślnie na tym miejscu choć w kilku słowach zwróciliśmy uwagę na te swojskie cechy twórczości komedii, gdyż nabierają one aktualnego znaczenia na tle dzisiejszego rozpasania niepoważnej zresztą krytyki, starającej się dopatrywać w twórczości artystycznej związków między elementami tworzywa a pochodzeniem artysty. Podobnie, jak przekreśleniem wszelkich rasistowskich kombinacji panów spod znaku ABC. było stwierdzenie, iż najlepszym odtwórcą fredrowskich typów jest aktor pochodzenia żydowskiego, Stanisław Stanisławski, tak samo nie na rękę na pewno tym panom byłoby pogodzenie się z faktem, iż najbardziej narodowy obok Fredry i Blizińskiego polski komediopisarz, Michał Bałucki, pochodzi z Żydów. Hitlerowcy zrezygnowali z czołowych przedstawicieli piśmiennictwa niemieckiego, którzy są pochodzenia żydowskiego, nie dziwimy się więc, że oenerowcy i endecy wolą karmić się płodami grafomanów, a prawa do polskości odmawiają najwybitniejszemu współczesnemu poecie polskiemu, Julianowi Tuwimowi. Prawdopodobnie więc kryterium rasistowskie przesądzi o ich stosunku do Bałuckiego, gdyż nie istotne wartości, lecz poza artystyczne względy decydują w opinii rasistów o znaczeniu i zasługach pisarza. Fakt jednak bezsprzeczny, że, jak na razie, nie wytykano Bałuckiemu ani miaz-

(dokończenie na str. 8)

STER MŁODYCH

„ŻEBYŚMY MIŁOWALI WŁASNY NARÓD, NIE TRZEBA NAM NIENAWIDZIĆ NARODU INNEGO. MIŁOŚĆ ŻYJĄCA Z NIENAWIŚCI NIE JEST SZLACHETNA".

Tomasz Garrigue Massaryk

MIGAWKI

Pyrrusowe zwycięstwo czy klęska pod Pyrami

Najlepiej poinformowanym pismem w Warszawie, pismem czerpiącym swe wiadomości nie tylko z zawartości serwisów agencyj dziennikarskich, ale opierającym się na własnej obsłudze jest: *„Merkuryusz Polski Ordynaryjny Dzicie wszystkiego świata w sobie zamykaiący dla informacyey pospolitey"*.

W Nr. 42 tego pisma czytamy bardzo ciekawe wiadomości o zapomnianym „bohaterze", którego imię i nazwisko nie schodziły — w swoim czasie — ze szpalt prasy stołecznej. Tym człowiekiem jest bohater klęski pyrowej (nie mylić z pyrrusowym zwycięstwem!), wódz „frontu Młodożydów" adwokat Rippel.

W zeszłym roku zorganizował on wzorem Jehudy Chassida z XVII w. marsz na Jerozolimę. Gdy maszerujący wyszli za granice Wielkiej Warszawy pod Pyrami kazano im zawrócić. (Odwrót z pod Pyr!) I w Pyrach rozprysł się pochód w pył.

Obecnie w „Merkuryuszu" wystąpił mec. Rippel z rewelacjami. Nie wszyscy wiedzieli o tym — ale on ich poinformował, że jego klęska pod Pyrami była skutkiem intrygi żydowskiej. Że to żydowskie prezesy centralnych komitetów, dyrektorzy „Kajemetów i Chajesodów" wraz z finansjerą żydowską przyczynili się do tego. Im to bowiem zależy na tym, by Żydzi byli gnębieni i prześladowani w diasporze. Z tego to powodu powtórzyli oni aferę z przed czterech tysięcy lat w chwili, gdy Żydzi mogli się im wymknąć z sieci. Tylko że przed laty finansjerzy żydowscy wraz z wojskiem egipskim i faraonem szli na ślepo i zginęli w Morzu Czerwonym. W zeszłym roku natomiast nie dopuścili uchodźców do Morza Śródziemnego i nie pozwolili się zatopić.

Zaczął pan mecenas ogłaszać swe rewelacje, które będzie kontynuował. „Nic nie ukryję — pisze pan mecenas — niczego nie zataję, choć wiem, że oskarżenie moje wywoła burzę, która w pierwszej chwili grozić będzie zmieceniem mnie samego, za to, żem się ośmielił zerwać maskę z ziejącej nienawiścią i fałszem żydowskiej prasy burżuazyjnej. Już w tym miejscu z całą stanowczością podkreślić muszę, że nie cofnę się przed nikim i niczem... (Co na to Tajny Rząd Żyd.?)... Jutro być może przemówię wyraźniej. Wymienię nazwiska, instyucje, organizacje". Oj niedobrze! Boimy się tego jutra!

Ale p. Rippel już dziś zaczął: „Niech się świat dowie, że *Żyda, którego zwalczać należy, który jest wrogiem wszystkich* (podkr. moje!) szukać należy nie na Wołyńskiej, Miłej lub Krochmalnej, lecz w Juracie, w Alejach albo na Nowym Świecie." Takie tego początki, a koniec?...

Troszeczkę zaniepokojeni ale z ciekawością czekają wszyscy na rewelacje pana mecenasa Wilhelma Rippla.

Wstępnym echem odbiły się rewelacje adw. Rippla w tymże numerze „Merkuryusza". Pan J. B. omawiając zagadnienie: „kto w Polsce pragnie emigracji Żydów"? przychodzi do konkluzji, że nikt. Wszystkim zależy na tym, by Żydzi zostali na miejscu mimo, iż głoszą hasła przeciwne. Wszyscy bowiem są na żołdzie żydowskim, a przecież „nie ulega... żadnej wątpliwości, że przywódcy żydostwa światowego, bankierzy z Nowego Jorku, Wiednia, Paryża i Londynu zwalczają ideę emigracji jaknajgwałtowniej. Im potrzebne jest rozproszenie, nie emigracja. Państwo żydowskie, sprowadzenie Żydów do roli narodu, grzebie światowładne plany plutokracji żydowskiej całkowicie. Dla tych planów, dla tego, aby Żydzi stali się *nadnarodem* trzeba, aby do czasu powszechnej rewolucji światowej byli *międzynarodem*".

Aby więc nie doszło do rewolucji międzynarodowej, o którą walczy żydowska burżuazja, trzeba Żydów z Polski poprostu wypuścić. Droga trwać winna 50 dni.

Pan J. B. sądzi, że Młodożydów przez granicę rumuńską, bułgarską, turecką (Kemal Ataturk też był kiedyś *młody!)* przepuszczą. Strażnicy nie będą strzelać do masy bezbronnych Żydów. Nie uczynią tego „makabrycznego widowiska całemu światu, opinii publicznej, prasie." Niech więc Żydzi idą — co to kogo może obchodzić. Co będzie z nimi gdy dojdą do granic Palestyny? Adwokat Rippel się martwi o to? Więc dlaczego inni mają się kłoptać?

Niech o to Anglię głowa boli! I Żydów...

R. BAUM

Dalszy ciąg powieści „E L L Y" w następnym numerze.

Młodzież przed nowym zadaniem

(NA ZJAZD „MOACAT HANOAR")

Głośno jest na ulicy żydowskiej. Partie kontynuują swą pracę agitacyjną, a znajdująca się w tragicznej sytuacji masa marzy o emigracji do Palestyny. Szeregi organizacji młodzieży syjonistycznej jednak rozluźniają się. Nie pomogą tu statystyki o wzroście członków, na nic się nie zda wychwalanie sytuacji poszczególnych ruchów młodzieży, fakt pozostaje faktem: dziesiątki tysięcy młodzieży opuściło szeregi ugrupowań syjonistycznych. Dokąd poszły te wielkie rzesze zorganizowane do nie dawna pod naszym sztandarem? Wielu tłumaczy, że syjonizm rozczarował ich. Inni twierdzą, że w związku z trudnościami realizacji syjonizmu „znalazły" bardziej odpowiednią i radykalną drogę rozwiązania kwestii żydowskiej. I na pierwszy rzut oka ma się wrażenie, jakoby to rozczarowanie było istotnie przyczyną osłabienia ruchów młodzieży. Skoro jednak wnikniemy głębiej w problem ten, stwierdzimy, że rozczarowanie bynajmniej nie było przyczyną kryzysu, lecz skutkiem innego czynnika. Ostatnie wypadki w Erec, stanowiące materiał propagandowy dla wrogów syjonizmu, nie przyszły niespodzianie. Kto nie przystąpił do szeregów syjonistycznych jedynie dzięki urokowi nowej Palestyny, lecz otrzymał gruntowne i głębokie wychowanie, wie ,że nie pierwszy raz w okresie naszej realizacji przeżywamy okres krwawych wypadków i politycznych komplikacyj w kraju.

W okresie „prosperity" popełniliśmy wielki błąd. Mieliśmy wrażenie, że państwo żydowskie jest już faktem dokonanym, zbędne jest więc dalsze wychowanie syjonistyczne.

Wprawdzie istniały organizacje młodzieży i nawet dość liczebne, lecz czynność ich była bardziej podobna do działalności „partii młodych" niż do wychowawczego ruchu. I one brały udział w szatańskim tańcu wokoło certyfikatu, a ich praca koncentrowała się w powiększeniu ilości placówek hachszary, nie pogłębiając czynnika wychowawczego. Nic więc dziwnego, że taka młodzież musiała się rozczarować...

Ta walka partyjna o władzę i certyfikaty jest jedną z najważniejszych przyczyn upadku wśród młodzieży. Nie jest jednak jedyną.

W okresie wielkiej emigracji opustoszały gniazda wszystkich organizacyj. Jednostki kierownicze wyemigrowały, pozostawiając za sobą „lukę". „To musiało spowodować bezwzględne obniżenie się poziomu kulturalnego. Nie daliśmy młodzieży naszej odpowiedniej literatury, była więc zmuszona czytać obcą, która porywała jej duszę. Literatura obca budziła entuzjazm poruszając bliskie jej problemy emancypacji, pracy i postępu, jednocześnie oddalała ją tłem i fałszywymi wnioskami od syjonizmu. Nie możemy, rozumie się, zmuszać naszych pisarzy do zaspokojenia potrzeb młodzieży. Ale również i książki wychodzące w Erec, omawiające problemy życia i postępu Iszuwu, są dla niej niedostępne, gdyż nie może pozwolić sobie na kupno, a język w jakim są pisane jest dla niej niestety dotychczas mało znany. Należałoby książki te przetłumaczyć i udostępnić szerokim rzeszom młodzieży.

W odpowiedniej chwili zainicjował Keren Kajemet Leisrael zwołanie Rady Młodzieży, mającej obradować nad sposobami poprawy sytuacji. K. K. L. przejął na siebie nie tylko rolę wyzwolenia ziemi, lecz również odrodzenia młodzieży. Nie ma bowiem odrodzenia narodu bez zdrowego młodego pokolenia, które jest jego przyszłością.

Skoro przedstawiciele poszczególnych ruchów młodzieży potrafią wznieść się ponad codzienne interesy partyjne, stanąć na wysokości zadania i połączyć się we wspólnej pracy pozytywnej — zło zostanie usunięte. Jeżeli zjazd zdoła stworzyć ciało, które przy współpracy najwyższej instancji ruchu syjonistycznego, zapewni pogłębienie momentów ideowych, oraz udostępni szerokim rzeszom młodzieży poznanie naszych zdobyczy w Erec — nie powtórzy się „okres rozczarowań". Wychowamy bowiem pokolenie świadome swego celu i obowiązku. Wyniki obrad Zjazdu „Moacat Hanoar" będą jednocześnie świadectwem dojrzałości naszej młodzieży.

J. DZIEWIĘCKI.

W czapce-niewidce wśród dzieci kibucu

Emma Lewin: „Anachnu". Opowiadania z życia dzieci w Palestynie. (Wyd. Centralnej Kooperatywy Szomrowej, Warszawa, Leszno 6 m. 16).

„Jest to księga drugiego pokolenia ruchu szomrowego, pierwszego pokolenia w ojczyźnie" — pisze na wstępie Rada Światowa „Haszomer-Hacair".

Drugie pokolenie... Jakże to? Więc ci szomrzy, skauci maszerujący w krótkich spodenkach i szarych bluzach z orkiestrą w Lag-B'omer — ci młodzi chłopcy, młode dziewczęta — już szczycą się... drugim pokoleniem?

Tak. Ci młodzi buntownicy, ci, którzy swą fantazją i odrębnością poglądu na świat nieraz swym rodzicom nie mało kłopotu sprawiali są teraz sami... rodzicami. I mają kłopoty ze swymi dziećmi.

Bo proszę nie zapominać, że ruch szomrowy istnieje już przeszło 20 lat i jego najstarsi członkowie przekroczyli już chyba czterdziestkę. Jest to jedyny w swoim rodzaju ruch młodzieży, który nie kończy się dla jednostki wraz z jej „ustatkowaniem się". Kibuc szomrowy w Palestynie jest „drugim aktem" życia szomra. W „drugim akcie" realizują się marzenia, nadzieje, idee snute w „akcie pierwszym". Ale kibuc nie jest już tylko izbą szomrową do której przychodzi się wieczorami na dwie godzinki z wiedzą, lub bez wiedzy rodziców, — kibuc jest domem, warsztatem pracy i formą politycznego życia. W kibucu się mieszka, zakłada rodziny i wychowuje dzieci.

Szomrzy, żyjący w kibucu nie zapomnieli o konfliktach. które za swych lat dziecinnych i młodzieńczych miewali ze swymi rodzicami z powodu wzajemnego niezrozumienia. Szomrzy-rodzice chcą uniknąć konfliktu dwuch pokoleń. Jeśli dzieci nie poprowadzą dalej ich dzieła odbudowy kraju — cóż z tym dziełem w takim trudzie wzniesionym się stanie?

Dzieci są w kibucu największym skarbem i wielkim problemem. Rodzice podpatrują je, podsłuchują —J by poznać ich duszę, by je rozumieć i umieć się z nimi porozumieć.

Książka Emmy Lewin (14 opowiadań) — jest wspaniałym dokumentem tego podsłuchu. W tych przepięknych opowiadaniach przychwycono dzieci na gorącym uczynku — ich dziwacznych i fantastycznych rozmów. Emma Lewin odkryła dla czytelnika nowy świat, dziwny świat pełen naiwnej poezji dziecięcej.

Świetnie popatrzony został typowy dla dzieci brak prymitywnego doświadczenia w zakresie realizmu, przestrzeni, czasu i ruchu.

Dzieci wspinają się na dach, by ściągnąć z nieba chmurę, lub zerwać zeń kilka migocących gwiazd. Zbuntowana gromada członków społeczeństwa dziecięcego postanawia przebyć morze i dotrzeć za granicę. Jak to zrobi? Ależ jest sposób bardzo prosty: „wsadzimy osiołka do łódki, usiądziemy na nim okrakiem i pojedziemy za granicę."

Czy zdziwi nas teraz jakże arcyludzka naiwność dzieci w dziedzinie polityki. Dzieci — po licznych sporach jak zaadresować i jak sformułować — wysyłają list do... Hitlera, w którym zapraszają go na zabawę dzieci w Miszmar Haemek, gdzie chcą wyjaśnić sprawę prześladowań dzieci żydowskich w Niemczech.

Nierzadko jednak stwierdzamy z podziwem, że mały Mikrus w sporze z grupą kolegów i koleżanek wypowiada w formie krótkiej i lapidarnej myśl zawierajaca wielka prawdę społeczną, lub filozoficzną.

Styl Emmy Lewin jest jakby zapożyczony od dzieci. Czasem zatraca się nawet granica i trudno uchwycić, co autorka mówi do siebie, co dzieciom przypisać należy. Jest to wielka zasługa artystyczna autorki, która pisząc o dzieciach nie stoi od nich z dala, lecz z nimi żyje z nimi wędruje, wśród nich jest ciągle przez dzieci niewidziana. A raczej zasługa Emmy - wychowawczyni: jest to bowiem cechą dobrych pedagogów — być wciąż wśród dzieci, lecz w czapce niewidce.

Popełnilibyśmy niesprawiedliwość, gdybyśmy nie zaznaczyli, że wiele uroku dodają książce piękne rysunki Benjamina Rozenbauma „chłopca z Warszawy", żyjącego obecnie w kibucu szomrowym w Ramat Jochanan.

Książka wydana jest w godnej jej wartości literackiej szacie zewnętrznej.

I jeszcze jedno. Rzecz prosi się o tłumaczenie na język polski. Opowiadania Emmy Lewin, które ukazały się częściowo w prasie szomrowej, częściowo w prasie młodzieżowej pod red. N. Jacobiego*) w języku polskim — cieszyły się wielkim powodzeniem.

J. Greiwer.

**) W „Nowym Słowie dla Młodych" z roku 1931 ukazała się nowela Emmy Lewin p. t. „Gwiazdy spadają".*

HERE ENGLISH SPOKEN

Lekcja V.

FIFTH LESSON

(FYFTS LESN)

Najpierw sprawdzimy tłumaczenie z poprzedniej lekcji:

I am a Jew = Jestem Żydem

I am a Jewess = Jestem Żydówką

I am a Jew (Jewess), and I want to remain a Jew (Jewess) until I die = Jestem Żydem (Żydówką) i chcę pozostać Żydem (Żydówką)) aż do śmierci (dosłownie: „dopóki umrę").

A teraz maleńkie sprostowanie:

zamiast wydrukowanego *„Thurdsday"* (tsÖrzdej) — czwartek powinno być „THURSDAY" (zbyteczna była litera „D").

Po zapoznaniu się z nazwami dni w tygodniu przystępujemy do nazw miesięcy:

JANUARY — *(DżEnjuery)* — styczeń
FEBRUARY — *(FEbruery)* — luty
MARCH — *(Maarcz)* — marzec
APRIL — *(Ejpryl)* — kwiecień
MAY — *(Mej)* — maj
JUNE — *(Dżun)* — czerwiec
JULY — *(DżulAj)* — lipiec
AUGUST *(Ogöst)* — sierpień
SEPTEMBER — *(SeptEmber)* — wrzesień
OCTOBER — *(OktOUber)* — październik
NOVEMBER — *(NowEmber)* — listopad
DECEMBER — *(DysEmber)* — grudzień.

VOCABULARY

after *(After)* — po
before *(byfOOr)* — przedtem
to come *(kam)* — przyjść, następować
he, she, it comes *(kams)* — on, ona ono przychodzi, następuje

TRANSLATE INTO POLISH, PLEASE

After January comes February
After March comes April
After May comes June
After July comes August
After September comes October
After November comes December.

———

Before December was November
Before November was October etc.

Uwaga: Akcent (nacisk) w języku angielskim występuje o wiele dobitniej, niż w języku polskim.

Przypominamy, iż w naszych lekcjach oznaczamy go dużą literą w wymowie, podanej w nawiasach.

ANGLIK I NIEMIEC

Pytał mądry głupiego
Na co bzik mu zda się
Ten rzekł: „by pisać hymny o najwyższej rasie"
Zresztą — dodał głupi — nie zrozumiesz co rzekę
Żeby mnie zrozumieć trzeba być endekiem.

HERO.

Mówią wieki żydowskie

Poczynając od numeru bieżącego redakcja „Steru Młodych" będzie zamieszczała szkice z dziejów literatury hebrajskiej, tak mało znanej młodzieży, czytającej w języku polskim.

I.

HEBRAJSKO - ARABSKA LITERATURA W HISZPANII.

Po śmierci *Mahometa* (rok 632 p. N. Chr). drugi *Kalif Omar* z mieczem i koranem przekroczył granicę Arabii, zdobył Persję i ówczesne bizantyjskie prowincje Palestynę, Syrię i Egipt.

Za panowania kalifów arabskich Żydzi Babilonii tworzyli samodzielną gminę z własnym „księciem wygnania" („Rosz-Galutu") na czele, a rektorowie ich akademij odznaczeni bywali tytułem honorowym „GAON"*). Do gaonatu przywiązane były prerogatywy (przywileje), których nie ważył się naruszać wysoko postawiony *„rosz-galutu"*.

Żydzi w mahometańskich krajach rychło sobie przyswoili język arabski, gdyż posiadał on wiele form pokrewnych z językiem hebrajskim i był im niezbędny w życiu codziennym. Zamiłowanie, z jakim Arabowie uprawiali poezję, dbałość ich o czystość i poprawność języka, przestrzeganie właściwego akcentu i rytmicznego dźwięku mowy nie zostały bez wpływu na Żydów.

Plemiona żydowskie, które wyemigrowały z Arabii do Babilonii, przywiozły z sobą smak i zamiłowanie dla poetyckiej mowy arabskiej.

Poezję Arabów do kształcenia form swego języka budził również Żydów do większej dbałości o język hebrajski.

Odtąd datuje się powstanie nowohebrajskiej poezji, która, podobnie jak arabska, nadawała językowi większą zwięzłość i rozwinęła jego rytmiczność. Powstali wtedy żydowscy autorzy, którzy wzbogacili liturgię**) nowymi modlitwami, hymnami, w duchu poetyckim poczętymi „PIJUTIM" zwanymi, które opiewały chwałę Boga, ważne przypadki historyczne, podnioślejsze momenty w dziejach ludu żydowskiego w czasie jego rozkwitu i upadku.

Z pośród autorów tych poezji najpierwszymi byli: JOSE BEN JOSE HAJASOM, JANAI ELEAZAR KALIR, których ulubioną formą poetycką były alfabetyczne akrostychy (czyli utwory poetyckie, których litery początkowe poszczególnych wierszy tworzyły

———

**) GAON — oficjalny tytuł dla najwybitniejszych autorytetów naukowych wczesnego średniowiecza.*

***) LITURGIA — porządek i sposób odprawiania nabożeństwa.*

Z równą gorliwością uprawiali Żydzi ogólną wiedzę w czasie rozkwitu kultury wschodniego kalifatu na początku IX wieku, kiedy duch grecki zmartwychwstał w szacie arabskiej. Historia kultury arabskiej przechowała niejedno znakomite imię żydowskie w swoich rocznikach. SAHAL al TABARI, głośny lekarz żydowski i matematyk, tłumaczył na język arabski *Almagest* greckiego astronoma Ptolemeusza, zasadniczą książkę dla astronomii w średnich wiekach, *on też pierwszy poznał załamywanie się promieni światła.*

Rozdwojenie i intrygi wśród koryfeuszów gminy babilońskiej spowodowały upadek autorytetu gaonów, a ze śmiercią gaona *Saadia* (rok 942 po N. Chr.), autora znakomitego dzieła „Emunojs w'dejojs" (wiara i nauka), akademie babilońskie zaczęły się chylić ku upadkowi. Wprawdzie zwolennicy Akademii Surańskiej wysłali kilku znakomitych talmudystów do Europy, by wzbudzić współczucie bogatych gmin i skłonić je do podtrzymania tego jednego zakładu naukowego odpowiednimi ofiarami, ale z powodu różnych przygód delegaci do Babilonii więcej nie wrócili, pozostali w Europie i tu w rozmaitych miastach założyli szkoły talmudyczne.

Najpodatniejszy grunt dla swojej działalności znalazł jeden z emisariuszów babilońskich w Kordowie (Hiszpania), gdzie *Kalif Abdul-Rahman III* niechętnie patrząc na to, jak co rok wywożono znaczne sumy z jego kraju do Gaonatu w znienawidzonym przez siebie kalifacie, rad był, że w jego państwie założoną zostanie wyższa szkoła talmudyczna.

I tak, Kordowa stała się siedliskiem znakomitego, od Gaonatu niezawisłego, zakładu naukowego, który przy protekcji nadwornego medyka, a wysoko postawionego męża stanu, mecenasa oświaty *Chasadaja Ibn - Szapruta* (r. 915—970), mógł się świetnie rozwijać.

Widzimy więc, że ognisko kultury przenosi się z upadającego Babilonu do mahometańskiej Hiszpanii, gdzie wówczas skupiała się znaczna część diaspory żydowskiej.

N.

Redaktor „Steru Młodych" N. JACOBI

Adres dla korespondencji: „Ster Młodych", W-wa I, ul. Chłodna 17.

Maurycy Szymel

CZY WOLNO ŻYĆ?

1. MEDYCYNA POLITYCZNA.

Czytałem ostatnio broszurę młodego psychologa żydowskiego I. Rozenbauma pod charakterystycznym tytułem „Medycyna polityczna".

W fascynującej tej książeczce — o której będzie prawdopodobnie kiedyś głośno — usiłuje autor wyjaśnić najrozmaitsze zaburzenia psychiczne człowieka procesami politycznymi jego ustroju psychicznego i naodwrót — zaburzenia w organizmach społecznych usiłuje wyjaśnić kategoriami tej swojej nowej psychiatrii.

Spróbujmy zastosować tę metodę do oddziaływania antysemityzmu na psychikę naszej społeczności.

Nie interesuje nas w tej chwili w jakim stopniu antysemityzm działa rozkładczo na moralność społeczeństwa, którego odłam uczyniły sobie zeń oręż polityczny. Niech się o to troszczą ci, którzy stanowią — świadomie, czy nieświadomie konsumentów tej trucizny społecznej. Interesuje nas w tej chwili wyłącznie oddziaływanie antysemityzmu na moralność n a s z ą, na postawę psychiczną tych, przeciw którym truciznę tę produkują.

Przywykliśmy mierzyć natężenie antysemityzmu ilością zrujnowanych placówek gospodarczych, ilością szyb wybitych w mieszkaniach żydowskich, ilością ran od kastetów i pałek, zapomnieliśmy natomiast o ranach zadanych naszej moralności, poczuciu naszego człowieczeństwa, naszej postawie psychicznej, t. j. o ranach zadanych tym ośrodkom naszego organizmu społecznego, które decydują jeśli chodzi o wytrzymałość i odpieranie ataków dotkniętej obłędem tłuszczy. A producentom trucizny antysemityckiej chodzi wszak przede wszystkim o ośrodki p s y c h i c z n e naszego organizmu społecznego, o zarażenie nas straszliwą neurozą o, podcięcie nam postawy psychicznej, o wywołanie w nas odrażających odruchów tchórzostwa i apatii...

Czy udało się już producentom trucizny antysemickiej dotrzec do tych psychicznych ośrodków żydostwa, czy udało się im poszarpać ustrój nerwowy naszego organizmu społecznego?

W pierwszej chwili chciałoby się rzec: nie! Nie udało się! Ostatnia dumna i pełna godności odpowiedź na getto w uczelniach świadczyć może, że nerwy nasze funkcjonują składnie. Jeśli weźmiemy jednak pod uwagę wyjątkowość niebezpieczeństwa i niecodzienną na nie reakcję naszą, zrozumiemy, że składne funkcjonowanie naszego ustroju nerwowego obserwować musimy, nie w chwilach wyjątkowego natarcia wrogich mocy, lecz w życiu codziennym. Musimy śledzić każdy nasz odruch i dopiero na tej podstawie postawić diagnozę.

Rozpatrując pod tym kątem widzenia chorobotwórcze oddziaływanie antysemityzmu, stwierdzić musimy niestety, że trucicielom udało się jednak nadszarpnąć nieco ustrój nerwowy naszego życia społecznego. Wnioskujemy to z odruchów na pewne zjawiska, o których warto nieco szerzej pomówić.

Z pośród wielu wybieramy dla przykładu 3 zjawiska i skonfrontujemy je z naszą na nie reakcją.

2. HUMANITARYŚCI.

A więc, primo: jak reagujemy na wystąpienia humanitarystów, biorących nas w obronę przeciw antysemityzmem w jego żywiołowych odruchach Odpowiedź na to da nam żydowska prasa codzienna.

W prasie tej powtarzają się ostatnio takie nazwiska, jak Kotarbiński, Michałowicz, Halina Górska, Wanda Wasilewska i in.

Nazwiska te powtarzane są w prasie żydowskiej niemal codziennie... W bolesnej bezradności, w rozpaczliwym poszukiwaniu oparcia chwytamy się tych — bezsprzecznie świetlanych nazwisk — i unosimy je wysoko... wysoko... jak latarnie, które oświetlać mają nasze coraz bardziej mroczniejące drogi. Lud nasz, rozsiany po wszystkich połaciach Rzeczypospolitej powtarza sobie te nazwiska nabożnie i z dumą. Są to istotnie nazwiska owiane nimbez bohaterstwa. Bo bohaterstwem dziś jest bezsprzecznie protestowanie przeciwko biciu bezbronnych ludzi, przeciwko poniżaniu ich godności osobistej i narodowej...

Nie wolno nam jednak zapominać, że w innych warunkach wystąpienia takie byłyby wprost nie do pomyślenia... Pamiętać musimy, że żyjemy w czasach wyjątkowych, gdy najbanalniejsze i najoczywistsze prawdy stają się odkryciami.

„Nie wolno nikomu wybijać szyb".

„Nie wolno w sklepach pozostawiać bomb, ani rzucać petard."

„Nie wolno napadać w parkach na przechodniów."

„Nie wolno spotkanemu na ulicy człowiekowi napluć w twarz".

„Nie wolno nikomu przeszkadzać w studiach".

Są to zakazy tak oczywiste, że śmiesznym się wydaje przypominanie ich dorosłym ludziom.

Toteż uświadomić sobie musimy, że wystąpienia Kotarbińskich, Michałowiczów, Wasilewskich i innych to nie żadna łaska uczyniona nam wspaniałomyślnie bo gdybyśmy to tak pojmowali, wyrządzilibyśmy krzywdę tak tym ludziom dobrej woli jak i sobie.

Im — gdyż poddalibyśmy w wątpliwość ich spontaniczne i obiektywne człowieczeństwo, sobie zaś — gdyż moglibyśmy zasugerować sobie i innym, że stan ludożerstwa uważamy za zjawisko stałe i oczywiste, zaś człowieczeństwo — za nagle przemijający odruch, za coś, co dzieje się wbrew naturze, za przypadkowy przebłysk szczęścia.

Przejdźmy z kolei do drugiego zjawiska i skonfrontujmy z nim naszą postawę psychiczną.

3. WYWIADY...

Nieraz czytamy w prasie żydowskiej wywiady z wybitnymi osobistościami społeczeństwa polskiego na tak zwane żydowskie tematy i nie zdajemy sobie sprawy ile tragicznej dezorientacji mieści się w samym pomyśle takich wywiadów.

Zgłaszamy się np. do któregoś z wielkich poetów polskich i zadajemy mu pytanie: co sądzi pan o kwestii żydowskiej w Polsce? A mamy na myśli:

Czy jest pan za wybijaniem szyb w mieszkaniach żydowskich? Czy jest pan za biciem Żydów? I t. d. i t. d.

Nie zdajemy sobie jednak sprawy ile anomalii psychicznych mieści się w takim podejściu do rzeczy. Już sam pomysł wywiadu może wywołać myśl, że my sami wahamy się czy antysemityzm nie ma aby racji, że się wahamy co do jego oceny.

Człowiek pobity nie zwraca się nigdy z pytaniem do bliźniego, czy pobicie to było aktem sprawiedliwości...

Z drugiej strony sugerujemy naszym masom, że jesteśmy aż tak bezbronni, że musimy udawać się pod skrzydła opiekuńcze intelektualistów...

Po trzecie: wyrządzamy krzywdę tymże intelektualistom, zmuszając ich do wypowiadania najoczywistszych i najbanalniejszych maksym z zakresu moralności społecznej i ludzkiej. Wymuszamy na nich odważne wypowiedzenie się, czy należy nas bić czy też nie, choć sami wiemy najlepiej co i jak należy o tym sądzić... Dopraszamy się jakby samo przez się zrozumiałego pokwitowania, że dzieje nam się krzywda, że tak być nie powinno. Czytelnicy pism żydowskich domagają się jednak takich wywiadów... Czyż nie świadczy to o osłabieniu pewnych ważnych ośrodków społecznego reagowania?

Czyż nie jest to opieranie się na cudzym kiju?

4. ANKIETY...

Rozważmy wreszcie trzecie zjawisko, gdzie reakcja nasza wykazuje pewne odchylenia od normy.

Wiemy, że pisma polskie, rozpisujące ankiety na tematy kwestii żydowskiej cieszą się ostatnio dużym powodzeniem — właśnie wśród Żydów.

Treścią tych ankiet są prawie zawsze takie „zagadnienia" jak:

Bić czy nie bić?

Wygnać czy nie wygnać?

Czy Żydzi mają kulturę, czy kultury nie mają?

Są to więc ankiety wysoce dla nas upokarzające.

Traktują nas w tych ankietach, jakbyśmy byli przedmiotem czyjejś woli dobrej, czy złej. A my zachłystujemy się każdą dobrą oceną naszej wartości, jakbyśmy byli uczniakami zależnymi od kaprysu pedagoga... Przejdziemy do wyższej klasy, czy nie przejdziemy?...

Uważam, żeśmy szkołę już ukończyli. I to o wiele dawniej niż ci, którzy stawiają nam stopnie.

Umiemy życie na piątkę. I historię umiemy na „bardzo dobrze".

Bądźmy pewniejsi siebie. Nie szukajmy aprobaty dla naszej egzystencji. Nie żądajmy jej. Jest nam ona najzupełnie zbyteczna.

Nie przynosi nam również zaszczytu użeranie się z ignorentami co do naszej potencji twórczej. Nie usiłujmy ich przekonywać o naszej wartości. Ślepemu nie mów o kolorach. Uzbrójmy się w pogardę i wezwijmy na pomoc politowanie. Bądźmy rycerscy w stosunku do ludzi słabszych.

Nie pytajmy pierwszego lepszego wyrostka, czy wolno nam żyć.

W sobie odnajdźmy to potwierdzenie.

Bo jeśli nieraz nie potrafimy obronić naszych głów przed palką tępych „terrorystów", to duszę naszą na pewno obronić potrafimy przed plugawym jadem antysemityzmu.

Jest to rzecz ogromnie ważna. Wprost — niezbędna.

Leon Baumberg

Zmarł poeta – wycieruch niebieski

Dla mnie zaczął się Leśmian wtedy, gdy pociągnięty niezwykłą indywidualnością Edgara Allana Poego przeczytałem jego „Opowieści nadzwyczajne" w przekładzie Leśmiana i wstęp do nich również pióra polskiego poety. Zrozumiałem wtedy, że tak pisać o Poem może tylko człowiek, który nie ogranicza się wyłącznie do zwykłej powinności wydawniczej, który nie pragnie jedynie wypełnić lukę w piśmiennictwie polskim, pozbawionym do czasów tego przekładu wspaniałej twórczości poety z Baltimoru. Tak pisać o Poem mógł tylko człowiek złączony z nim tysiącznymi więzami duchowymi, bliski jego klimatowi poetyckiemu, spokrewniony ze światem jego wizji, często — nieuchwytnej, dalekiej i abstrakcyjnej. W tych słowach o Edgarze Poem, pisanych chyba około 1913 roku, wyczuwało się wielką pasję przyszłego autora „Łąki" i „Napoju cienistego", wyczuwało się wielką pasję człowieka, który broniąc przed nieuctwem i ignorancją krytyki wspaniałych wizji poetyckich Poego, bronił jakoby swej własnej późniejszej twórczości, która nawskroś leśmianowska, nowa i niepowtarzalna bliskie przecież zdradzała pokrewieństwo z brawurową, odważną poezją Edgara Poe.

Utwory Poego — pisze Leśmian we wstępie do „Opowieści nadzwyczajnych" — to szaleńcze uprawdopodobnienie zaledwie pochwytnych wizyj, w których gorączkowa równoległość snów i ocknień przetapia atrybuty rzeczywistości w tęczę marzeń. Marzenie graniczy z rzeczywistością, rzeczywistość z marzeniem. Zresztą — różnica pomiędzy nimi znika radośnie w chwili, gdy je pochłania wiecznie zagadkowa, a niepodzielna całość. Przedmiot i jego odbicie zyskuje jednakie prawa na ziemi i jednakie przywileje w niebiosach. A niemasz tu przedmiotów błahych i podrzędnych: wszystko jest zarówno ważne i wieczne, wszystko po prawicy nie po lewicy Boga. Śnić i — widzieć sen własny i ująć go w bezwzględne karby bezwzględnego artyzmu i wywalczyć mu cudaczne prawo bytu w dookolnych obszarach — oto czyn jedyny, na który zdobyć się winien poeta.

Tym postulatom pozostał Leśmian wierny do ostatnich dni swego życia, które przerwane zostało u szczytu rozwoju i możliwości twórczych. Nawet ostatnie wiersze, jakie wyszły z pod jego pióra zawierają owe dwie wizje, zaczerpnięte z rzeczywistości i marzenia, ze świata realnego i z podświadomych najgłębszych doznań, czasem upiornych i koszmarnych, a czasem naiwnie tkliwych i ludzkich. Najsubtelniejszym nawet objawom życia, najdrobniejszym przedmiotom, które nas w życiu otaczają i do których nie przywiązujemy żadnej wagi, fikcjom i snom przechodzącym bez echa, nie pozostawiającym najmniejszego śladu, nadał Leśmian rozmach poetyckiej prawdy i ważności, zdołał zasugerować nam ten świat, wymykający się z pod zwykłej obserwacji, w plastycznych i żywych obrazach. Ową walkę, jaką zapowiedział Leśmian w 1913 roku o cudaczne prawo bytu zarówno niesamowitego snu jak i jawy, zarówno najbardziej niedorzecznych, nierealnych, zwyrodniałych i wypaczonych pragnień jak i najświętszych uczuć i najczystszych doznań, walkę ową prowadził z zadziwiającą konsekwencją do ostatniej chwili życia. W obrazach dalekich od wszelkiego szablonu i banalności utrwalał te cudaczne, niesamowite dzieje duszy ludzkiej z prawdziwą, mistrzowską prostotą. Jednym czasem słowem, (stąd tyle inowacji językowych w jego wierszach, tyle nowych ,twórczych poszukiwań) lub jedną celną metaforą odsłaniał labirynt podświadomych wzruszeń i gąszcz nieprzebytą ludzkich uczuć.

Oto we wczesnym wierszu, zawartym w tomie „Sad rozstajny" dziewczyna (często powtarza się w jego wizjach motyw dziewczyny) walczy z wiosną, z drapieżnym majem, który tętni w jej krwi i każe błąkać się w szaleńczym opętaniu po zielonym, rozkwitającym lesie. Dziewczyna walczy ze zmorami wiosny, z namiętnością, której stłumić w sobie nie może:

...Od mrowisk słońce dymi we złotych kurzach — mgłach
A piersi jej rozpiera majowy cudny strach.

Ów strach przed tym nieodwołalnym, które musi się wreszcie stać, ów niepokój przed spełnieniem, przekwitem i śmiercią najpiękniej chyba wyrażony został w wierszach Leśmiana. Metafizyczny lęk i bardzo rzeczywiste, zmysłowe pragnienie upustu nagromadzonej żywotności, jowialne i bezpośrednie (np.: Wywróconą na opak do rowu ulicą, mknie Kachna i płonącą powiewa spódnicą. Wichrzy się i pokłębia i upałem bucha. Cała w ogniu i szumie! Pożar — nie dziewucha!), umiejętność zestawień tak różnych (chociażby w balladzie o porwanej nimfie — chociażby w wierszu o Krakowiance, która chłopca miała z drewna) a przecież często obok siebie występujących — jest najgłębszą może tajemnicą wierszy Leśmiana i jednocześnie najwyższym czarem i największym osiągnięciem artystycznym w poezji polskiej.

Poezję rozumiał Leśmian najszczytniej. Najsmutniejszym z ludzi był dlań poeta, który niewiadomo po co był „za pan-brat z nieskończonością", którego widziano—„tego obłąkańca, jak wierzbę sponad rzeki porywał do tańca", naprzekór drwinom i zniewagom, jakie go wszędzie w życiu spotykały. Bo tak zgubnie porywać wierzbę sponad rzeki zdoła tylko z „otchłanią sprzysiężony śpiewak", podczas gdy cała jego rodzina marnieje w nędzy i niedostatku. Poeta nie umie zarobić na chleb, ale Bóg ma go w opiece, albowiem Stwórca jest znawcą słowa i „smakoszem" poezji. Bóg lubi poetów, bo to są „swoi", cwaniacy, przejrzeli najskrytsze tajnie, wycierają codziennie progi niebieskiego królestwa poezji, rządzą się w nim jak we własnym domu. Tym smutnym panom w wysarzałych surdutach Bóg pokazuje również zaciśniętą pięść, bo wydzierają niebu tajemnicę, bo mają „rząd dusz".

Z drogi — idzie poeta — niebieski wycieruch!
Zbój obłoczny, co z światem jest — wspak i na nożel

I przed nim każe Leśmian szarym obywatelom świata pochylić czoła, przed nim — chapeau bas!

Zmarł niebieski wycieruch poezji polskiej, jeden z największych liryków ostatnich czasów, opętany, mówiąc językiem Czachowskiego, demonicznym żywiołem przyrody, konkretyzującym się w jego twórczości z nieznanym przed tym realizmem. Zmarł poeta, który przyrodzie i życiu wydzierał najtajniejsze sekrety i tajemnice, który łowił zgrzyty i melodie bytu, zaklinając te rzewne dziwy świata w doskonałej, jem utylko właściwej formie artystycznej. Zmarł poeta z łaski Bożej, który nigdy dla pieniędzy pióra swego nie zbrukał, który układał wiersze „ze łzami w gardle — pokutnie, złociście, umarle".

Olga Wołkowicz

Od Ferdynanda do Franca

H. Kesten: *Ferdynand i Izabella.* (I. Tom: Ojcowie i dzieci). Tłumaczyła Melania Wassermanówna. 1938. Instytut Wydawniczy „Lektura".

Hiszpania stała się ‚aktualna". Hiszpania uśmiercana, brocząca od kul i pocisków, odżyła w umysłach i sercach milionów. Już nie dziwi nikogo wielkie zainteresowanie świata dla Hiszpanii obecnej i dawnej. Szereg pisarzy Europy Zachodniej sięga do historii zamierzchłych czasów, starając się udowodnić, że inkwizycja, czasy Ferdynanda Aragońskiego i Izabelli Kastylskiej oraz Filipa II łączą się jedną więzią z obecną feodalną strukturą społeczną generało Franco, że Hiszpania obecna jest jakgdyby skostniałym cieniem Hiszpanii średniowiecznej. Do średniowiecza sięgnął też Herman Kesten w swej ciekawej książce: *Ferdynand i Izabella*".

Kesten napisał powieść historyczną. Lecz aby nie odstraszyć czytelnika zaznaczam na wstępie, że Kesten nie jest historiozofem, ani historiografem. Nie pogłębia swej powieści uwagami o prawach rządzących historią, nie interesuje go filozofia dziejów, co więcej, nawet treść historyczną odsuwa na plan najdalszy. Odnosimy wrażenie, że tylko z konieczności podaje kolejny bieg wydarzeń, czyni to mimochodem, tak jak gdyby odczytywał informacje prasowe. Widzimy tylko zręcznie rzucane historyczne migawki — na biegnącą po ciemku taśmę dziejów co kilka lat pada promień światła, wskazując na jakim znajdujemy się odcinku.

•

Jak analityczną grecką tragedię autor rozpoczyna swą powieść od katastrofy i dalszą akcją prowadzi do jej wyjaśnienia. W ten sposób uzyskuje ten plus, że odrazu na wstępie, z miejsca wprowadza czytelnika w epokę: w średniowieczną atmosferę grozy. Katastrofą jest ścięcie królewskiego przyjaciela. Co potem następuje jest bardzo charakterystyczne: walka z sumieniem, modlitwy na klęczkach i zwalanie winy na młodą żonę, która tego zabójstwa żądała.

Główny nacisk autor kładzie na przeżywania, tragedie i konflikty swych bohaterów. Przeżywania te są głębokie, ale z małymi odchyleniami przepływają jakgdyby w jednej płaszczyźnie. Nic dziwnego. Bohaterami bowiem są tu tylko albo królowie, albo ci którzy królami chcą zostać, a wszystkimi porusza jedna tylko sprężyna — żądza władzy, i szarpie wszystkimi jedno wielkie uczucie — strach! Strach przed zdradą, obawa, że oszuka ich najbliższy.

Dla tych silnych konfliktów autor konsekwentnie przygotował odpowiednio silne tło. Dał wnikliwy i bardzo wierny historyczno-kulturalny obraz średniowiecza. Typowo hiszpańską atmosferę dworską i koloryt historyczny odmalował z dużym temperamentem, barwnie i żywo. Nie opuścił żadnego z akcesoriów średniowiecza: astrologia, trucicielstwo, publiczna kaźń, przekupstwo, zemsta, spiski, intrygi, brat nie pewny brata, wzajemne morderstwa ojców i dzieci, a co za tym idzie — zdrada, (aż się kłębi i mąci od galimatiasu wzajemnych zdrad odrazu na kilku frontach) od pieczeniarzy, pochlebców, sługusów, faworytów i intrygantów. A obok wplecione są nastrojowe przypowiastki, np. o czarowniku, który zginął na rozkaz króla za rzucanie uroków, ale po śmierci wypowiada straszliwą przepowiednię, której kat jednak nie może powtórzyć, bo wpada w obłęd. Słowem, mamy pełny i zupełny obraz średniowiecza. A przy tym Kesten powieść swą uwspółcześnił. Gdyby oderwać tych ludzi od ich obyczajowego tła, i gdyby gdzieniegdzie archaizowany język nie przypominał, że są to dzieje 14—15 wieku, czytelnik mógłby wraz z bohaterami przenieść się w czasy współczesne. Z konkretnej konieczności historycznej widzimy skłębiony hiszpański motłoch, z lubością przypatrujący się zarówno ścięciu jak koronacji, widzimy szpiczaste kapelusze średniowiecznych profesorów i lekarzy, i złocone szaty i zbroje królów i infantów, ale nie czujemy ich koturnów ani sztywnych fryz. Ludzie ci są nam bliscy jak ich tragedie. Nie jest przypadkiem, że Kesten tyle siły włożył w swój kalejdoskop grozy. Dał obraz średniowiecza, ale jednocześnie wypatroszył cuchnącą teraźniejszość. Analogie są dość wyraźne. Bo czemu wybrał czasy Junty i dwóch królów, i w związku z tym moment bratobójczych walk, w XV wieku toczonych pod Olmedo, w Valladolid, Burgos i t. d.? Czyżby tylko dlatego, że nazwy te teraz żywsze echo wzbudzą w czytelniku codziennej prasy?... Jakoś nie wiele się w tym wszystkim zmieniło. Dziś grand, jutro uzurpator. Dziś koronowany, jutro uśmiercony. Popularność wtedy równie tanio dała się kupić jak dziś, tak samo jak serca tłumów łatwo zdobywało się „przypomnieniem... o sposobnościach, w których wiadrami można przelewać ich krew na pożytek innych". I z drogi uprzątnąć, kto zawadza. Tak samo jak dziś. Tylko zamiast zamachów bombowych, tamtym miłościwie panowała trucizna.

Jeden moralny plus wszakże mają ludzie średniowiecza nad współczesnymi: ich walkę duchową między pobożnością a zbrodnią. W chwilach grozy budzi się w nich sumienie, i wątpią o słuszności swej sprawy, i o tym, że ‚setki jednych pięści mają być silniejsze niż setki innych, czy to ma oznaczać, że król Henryk jest sprawiedliwszy niż brat jego Alfons? (z którym prowadzi bratobójczą walkę). Więc pięść choćby rzezimieszka ulicznego ma decydować o wyborze króla?". A zresztą, może za 500 lat powieściopisarz podobne moralne skrupuły wypowie też przez usta panów Franco et consortes?...

Na gruncie hiszpańskim sama nasuwa się kwestia żydowska, która za czasów Izabelli była zagadnieniem palącym. Jako dobry pisarz Kesten tendencyjnością nie narusza artystycznej szaty powieści. Zręcznie podkreśla tolerancję Portugalii w przeciwieństwie do nienawiści w Hiszpanii. Jeżeli się skarży, to nie na złą dolę poniżonych, tylko na ciężar przygniatających praw. Zagadnienie żydostwa autor zamknął w ramy jednej tylko dysputy między portugalskim ambasadorem (Żydem), a hiszpańskim biskupem, obdarzonym iskrą mądrości i dowcipu. Przemawia przez niego pogarda świata dla Żydów (czy się teraz zmniejszyła?). Lecz cóż znaczą w jego ustach następujące pytania: „Bito was milion razy. Ale nie wyniszczy się was doszczętnie. Myślicie sobie: przetrwamy. *Ale czy przetrwanie, to wszystko? — Podoba się wam wasze życie?*"

Czy to ma być wezwanie? Do czego? Czy do jakiejś rewizji?

Może autor wyraźniej wypowie się w następnym tomie.

Świetny przekład Melanii Wasermanówny, archaizowany z umiarem, świadczy o literackiej kulturze tłumaczki.

ANTENA ŚWIATA

Protest kobiet francuskich

Zorganizowany w Paryżu Komitet Kobiet francuskich w skład którego wchodzą panie Julliot-Curie, Delardu-Hardus, Andrée Violice, Laugevain i inne, zebrał kilka tysięcy podpisów na odezwie, protestującej przeciwko bombardowaniu spokojnej ludności chińskiej przez japońskich lotników i artylerię.

Komitet ten nie hołduje żadnym zasadom politycznym i opiera się wyłącznie na zasadach humanitarnych. Uważa za rzecz niemożliwą przejść obojętnie wobec tak nieludzkiego wydarzenia jak zabójstwo kobiet i dzieci. Pod protestem podpisane są Francuski, należące do najrozmaitszych warstw ludności.

Prawdopodobny laureat Nobla

Współpracownik „Marianne" złożył wizytę bibliotekarzowi Szwedzkiej Akademii — i ma się rozumieć, rozmowa dotyczyła tegorocznej nagrody Nobla.

Dr. Olson oświadczył, że „w Szwecji wszyscy są zakochani we Francji". Między innymi objawia się to w tym, że wśród laureatów Szwedzkiej Akademii — Francuzów jest więcej aniżeli pisarzy jakiejkolwiek innej narodowości: Jest ich pięciu: Sully Prudhomme, Mistral, Romain Rolland, Anatole France i Bergson.

Na pytanie jakie są w tym roku szanse Francuzów Dr Olson odpowiedział wymijająco: — Nie są one małe.

A natychmiast dodał:

— Proszę, niech mi Pan powie, czy to w waszym piśmie drukowane było „Lato 1914" Roger Martin du Gard?

Z tego należy wnioskować, że wśród Szwedów kandydatem jest Roger Martin du Gard.

150 rocznica Dageurra

21 listopada upływa 150 lat od dnia urodzenia Dageurra i 100 lat od dnia wynalezienia przezeń pierwszej kliszy fotograficznej. W październiku 1837 roku w swym skromnym laboratorium, Dageurre otrzymał odbicie człowieka na srebrnej płytce, poddanej działaniu pary jodowej. Dageurre był biedny i nie miał możliwości kontynuowania swych doświadczeń. Patent swój sprzedał rządowi francuskiemu za 6 tys. franków rocznej renty.

Wkrótce potem pojawiły się pierwsze „dageurotiny", sztuka ta olbrzymimi krokami posunęła się naprzód. 21 listopada w miasteczku Cormcy en Parisis, zostanie przybita tablica pamiątkowa na murze domu, w którym urodził się Dageurre. W Cormcy postawiono również pomnik wynalazcy kliszy fotograficznej. W dzień rocznicy przed tym pomnikiem przedefilują niezliczone rzesze fotografów. Każdy z nich złoży na cokole pomnika swoją fotografię z dedykacją poświęconą Dageurrowi.

Plany Piccarda

Po stratosferze prof. Piccard postanowił przystąpić do zbadania głębi oceanu. Do tej pory udało się to tylko jednemu człowiekowi, amerykańskiemu uczonemu Beab, który opuścił się na głębokość 900 m. Opuszczenie się na dno odbyło się w specjalnym aparacie metalowym, który był połączony z okrętem stalowymi linami; Beab otrzymał powietrze zapomocą specjalnej rury i utrzymywał kontakt z powierzchnią oceanu przy pomocy telefonu.

Prof. Piccard ma zamiar opuścić się na dno Oceanu Spokojnego, na głębokość 9000 m. Doświadczenia wstępne zostaną przeprowadzone na Oceanie Atlantyckim na głębokości 3—4 tys. m.

Mam zamiar — oświadczył prof. Piccard — opuścić się na dno w taki sam sposób, jak podnosiłem się do stratosfery, w balonie metalowym, nie będąc przywiązany żadnymi linami. Aparat obciążony koniecznym balastem, swobodnie pójdzie na dno. Żeby podnieść się w górę wystarczy nacisnąć guzik automatyczny i uwolnić się od części znajdującego się na zewnątrz baalstu. Oczywiście, że trzeba jeszcze rozwiązać zagadnienie równowagi podwodnej i zabrać ze sobą dostateczną ilość tlenu. To są jednak szczegóły. Największa trudność polega na przezwyciężeniu straszliwego ciśnienia wody. Lecz i tę trudność można przezwyciężyć...

Jak żyje Roosevelt

Dzięki biografii wszystkich znakomitych mężów stanu wiadomo, że wstają oni bardzo wcześnie między 6 a 7 rano.

Jedyny wyjątek stanowi Roosevelt, który nigdy nie wstaje przed godziną 8½ rano. Od czasu swojej choroby jada zawsze śniadanie w łóżku i wypija 3 filiżanki kawy z mlekiem. Podczas śniadania sekretarka jego. miss Margarite Legent, odczytuje najważniejsze listy. O godz. 9.30 wchodzi do sypialni prezydenta detektyw jego i powiernik — Tomasz Kalters. Przy jego pomocy Rosevelt szybko się ubiera i punktualnie o godz. 10-ej, udaje się do swojego gabinetu przez tunel łączący jego prywatne apartamenty z biurami Białego Domu.

Tak rozpoczyna się dzień pracy prezydenta. Sekretarze przynoszą mu sprawozdania z najrozmaitszych spraw. Roosevelt nie lubi wnikać w szczegóły i pozostawia je do rozstrzygnięcia swoim współpracownikom. Czasami pyta ich o radę, lecz jeszcze nigdy żaden z jego technicznych doradców nie ośmielił się doradzić mu z własnej inicjatywy. Roosevelt tego nie znosi. Odpowiedzi na listy nie dyktuje prawie nigdy. Pisze za niego sekretarka jego miss Legent, pracująca już z Rooseveltem 20 lat. Przyswoiła ona sobie znakomicie obraz myśli i styl prezydenta tak, że po upływie pewnego czasu nigdy nie jest on w stanie odróżnić własnych listów od listów pisanych przez sekretarkę. Roosevelt w czasie pracy wypija kilka szklanek mleka. Śniadanie spożywa przy biurku: sandwich, kawałek zimnego mięsa i mleko.

Po śniadaniu porozumiewa się prezydent z mr. Hallem, przyjmuje interesantów, posłów. Jeśli udaje mu się skończyć pracę stosunkowo wcześnie, udaje się do kąpieli do basenu w Białym Domu.

Roosevelt nigdy nie odstępuje od wprowadzonego porządku dnia. Punktualnie o godz. 8-ej wieczór zasiada do obiadu w otoczeniu rodziny. Uznaje on tylko trzy mięsne potrawy: krwisty befsztyk, kurę i schab. Lubi bardzo lody.

Nigdy nie jada po za domem, nigdy nie bywa na przyjęciach w cudzoziemskich poselstwach, nigdy nie bywa w teatrze. Wyjątek czyni tylko jeden raz do roku udając się na bankiet do związku dziennikarzy.

Trzy a czasami i cztery razy tygodniowo demonstruje się w specjalnie w tym celu urządzonej sali najnowsze filmy; bardzo często wieczorami porządkuje Roosevelt swe znaczki pocztowe — posiada bowiem wspaniałą, ciągle powiększającą się kolekcję. Bardzo lubi zapraszać do siebie starych przyjaciół i wspominać z nimi dawne czasy. Największą przyjemność w życiu sprawia mu rybołóstwo i rokrocznie w czasie wakacji, udaje się w tym celu na swym yachcie na Ocean Spokojny.

Niektóre przyzwyczajenia Prezydenta ogromnie imponują Amerykanom. Tak, np. Roosevelt informuje urząd skarbowy o swych dochodach ostantiego dnia. Pobiera on 75 tys. $ pensji. W dniu swych urodzin nigdy nie pracuje i obowiązkowo otrzymuje od żony tort z odpowiednią ilością świec. Po za tym lubi ogromnie dokuczać pani Roosevelt, wymawiając jej, że „w Białym Domu nie można w żaden sposób się przyzwoicie odżywiać".

Udając się na spoczynek umieszcza u swego wezgłowia telefon. Ministrowie mają prawo telefonować do niego w ważnych sprawach o każdej porze dnia i nocy.

Jan Valjan z San-Francisko

Policja z San Francisko zaaresztowała przed paru dniami Albreta Naychena cieszącego się wśród swych współobywateli ogólnym szacunkiem.

Naychen zajmował wysokie stanowisko w administracji pocztowo - telegraficznej, byl członkiem kilku klubów, uchodził za wzór męża i ojca czwórki rozkosznych dzieciaków; po za tym znany był jako wyjątkowo hojny filantrop.

Ten wyjątkowo godny szacunku człowiek zabił przed 17 laty dwoje ludzi. Po roku uciekł z katorgi w Sante Fe.

Nowy Jean Valjean zaprzeczył temu. Po ucieczce z galer wstąpił jako marynarz do floty wojennej, przesłużył cztery lata i został boczmanem. Po odbyciu morskiej służby dzięki świetnym referencjom otrzymał posadę na poczcie w San Francisko i w bardzo szybkim czasie zaczął awansować.

Ożenił się szczęśliwie, znakomicie wychował swoje dzieci i zasłużył na ogólną miłość i poważenie. Wiadomość o jego aresztowaniu wywołała w San Francisko głęboki żal.

Tym nie mniej Albert Naychen zmuszony został do powrotu do więzienia dla odbycia kary, chyba że utworzony dla jego obrony komitet uzyska od prezydenta ułaskawienie.

3-metrowy człowiek

Przed sześciu lat, w roku 1931, sprawa Saad Moustafa Ghari, zamieszkałego w Aleksandrii, zadziwiała kronikę światową. Fenomen wyjątkowy, młody ten człowiek rósł wciąż.

W aleksandryjskim szpitalu gdzie umieszczono go z powodu choroby długość jego wynosiła 2 m. 25 cm. Lekarze szpitalni zainteresowali się tym wyjątkowym wypadkiem i zaczęli stosować wobec niego odpowiednie środki aby położyć kres ciągłemu wydłużaniu się jego postaci. Lecz jego próby i usiłowania okazały się bezowocne i Saad wyciągnął się jeszcze o 60 cm.

W obecnej chwili, najwyższ yczłowiek świata mieszka ze swymi rodzicami w miejscowości Bab el Guedid w Egipcie.

Był pewien okres czasu kiedy jego postać przestała się wydłużać, lecz już od kilku tygodni rośnie on na nowo.

Dziś liczy Saad Mustafa Ghari trzy metry i kilka centymetrów wysokości. Jest najzupełniej zdrów, ma humor i absolutnie nie przejmuje się swoją „wielkością".

Bieg czasu

W Paryżu i Londynie wyświetlają obecnie dziewiąty numer „Biegu czasu". Jest to specjalna forma widowiska filmowego, nie dawno wprowadzona przez dwuch dziennikarzy amerykańskich, która odrazu zdobyła sympatię publiczności. Każda kolejna edycja „Biegu czasu" składa się nie ze zwykłego przeglądu tygodniowego, lecz z najważniejszych wydarzeń tygodniowych, przedstawionych w przeglądzie historycznym: autorzy posługują się dla swego montażu archiwami kinowymi. Częstokroć artyści w rolach historycznych rozgrywają sceny konieczne do zrozumienia obecnych wydarzeń.

Główne miejsce w ostatnim numerze „biegu czasu" poświęcone są śladom, jakie w życiu angielskim zostawiła wojna i ustawodawstwo czasów wojennych. W Anglii to specyficzne prawodawstwo, ograniczające w pewnym stopniu prawa obywateli, ustanawiające pewne ograniczenia w handlu i w życiu społecznym, nosi nazwę D. O. R. A. według pierwszych liter jego pełnego tytułu. Pozostałości tej „Dory" w angielskim życiu są bardzo ciekawe i częstokroć komiczne: tak naprzykład, po dziś dzień nie można kupić w Londynie po godzinie ósmej wieczór mydła do golenia — apteki po tej godzinie, zgodnie z prawem wojennym sprzedają wyłącznie lekarstwa. W kwiaciarni można kupić wieczorem bukiet goździków, ale nie wolno kupować kaktusów: sprzedaż ciętych kwiatów po godzinie 8-ej jest dozwolona, sprzedaż kwiatów doniczkowych wzbroniona. Nie bacząc na to, że sklep z papierosami jest otwarty, właściciel jego nie ma prawa w określonych godzinach sprzedawać zapałek i t. p. Szczególnie surowe są ograniczenia w dziedzinie handlu napojami wyskokowymi: po godz. 12-ej w nocy wolno pić, lecz nie wolno zamawiać trunków. Oczywiście, że omija się te ustawy: w tak zwanych nocnych „klubach" goście zamawiają szampan nawet o 2-ej w nocy lecz podpisują zamówienie wcześniej. Czemuż więc nie zmienić tych praw, które dziś są już przeżytkiem? Na to jednak nie pozwala urodzony Anglikom konserwatyzm i ich instynktowny wstręt do wszelkich zmian prawodawczych. Nie bacząc na kampanię, jaką prowadzą organizacje kupieckie przeciwko tym nielogicznym ustawom, są one nadal w mocy i prawdopodobnie nigdy nie zostaną zniesione.

Wszystko pokazane jest w „biegu czasu" z wielkim humorem. W podobny wyczerpujący sposób pokazane są i inne wydarzenia ostatnich tygodni, jak przyczyny, które wywołały wojnę japońsko-chińską.

Rue Buonaparte Nr. 18

W czasie wojny mieściła się na rue Buonaparte 18, w Paryżu, siedziba Czechosłowackiej Rady Narodowej, która po zakończeniu wojny światowej uznana została przez rządy sprzymierzonych za Rzad Tymczasowy Republiki Czechosłowackiej.

Przewodniczącym Rady Narodowej był Tomasz Masaryk, jego generalnym sekretarzem Benesz. Dwaj słowacy — przyszły pierwszy minister spraw wojskowych Sztefanek i Stefan Osusski byli członkami Rady. W tych dniach na zlecenie swego rządu, czechosłowacki poseł w Paryżu Osusski, kupił na rachunek państwa czeskiego dom położony na rue Buonaparte Nr. 18, gdzie narodziła się republika. Dom ten zamieniony zostanie w muzeum, gdzie przechowane zostaną wszystkie pamiątki dotyczące działalności Rady Narodowej i jej walki o niepodległość Czechosłowacji.

Wzorowy Instytut Dentystyczny

Siedem lat temu milioner amerykański George Histumne ofiarował Paryżowi milion dolarów na wybudowanie wzorowego instytutu dentystycznego dla dzieci i młodzieży szkolnej. Obecnie gmach instytutu już jest gotów natomiast urządzenie wewnętrzne jeszcze nie całkowicie. Musi ono potrwać jeszcze około 2 miesięcy. Ale od stycznia przyszłego roku wszystkie paryskie dzieci będą miały możność leczenia darmo zęby w instytucie urządzonym według ostatnich zdobyczy techniki.

Georg Histumne przypisuje wielkie znaczenie opiece nad zębami w dzieciństwie. Twierdzi, że wiel echorób przewodu pokarmowego, przemiany materii, częstokroć systemu nerwowego występujące wśród ludzi dorosłych, wywołane zostały zaniedbaniem zębów we wczesnym dzieciństwie i w wieku szkolnym. Pierwszy wzorowy instytut ufundował Histumne w swym rodzinnym mieście Rochester. Następnie wybudował podobne instytuty w New-Jorku, Sztokholmie, Londynie, Brukseli i Rzymie. Paryski jest siódmym z kolei i podobno ma być największym i najwspanialszym.

Amerykańskie zwyczaje...

Od pewnego czasu filmy amerykańskie wyświetlane w Stanach Zjednoczonych zaopatrzone są następującą uwagą: „Nazwiska, miejsca i akcja tego filmu nie mają najmniejszego związku z rzeczywistością". To zastrzeżenie ma związek z licznymi procesami, które są stale wytaczane przeciwko producentom amerykańskim.

Wystarczy, aby jakaś postać antypatyczna nosiła nazwisko jakiegoś obywatela Stanów, aby auto gangstera ozdobiono numerem czcigodnego amerykanina, to już mamy proces sądowy.

I mimo, że przedsiębiorstwa filmowe mają specjalistów ekspertów, których obowiązkiem jest czuwać nad tym, aby nikt nie miał możliwości się czuć dotkniętym, wszystko na próżno. Zawsze znajdą się inni „specjaliści", którzy znajdą pretekst do wystąpienia sądowego.

(LY).

Dr. med. M. SALAMON

wszelkie analizy lekarskie

Obecny adres: **Warszawa, Leszno 28** (róg Karmelickiej) tel. 11-54-92.

Dr. Stefan Rumelt

Czy Bałucki był Żydem?

(dokończenie ze str. 5.)

matów, ani destruktywnej roli ani też łączności z folksfrontem, gdyż ten mieszczański pisarz niechętnym okiem patrzał na wszelki eksport z za granicy, a osobliwie unikał wpływów francuskiej farsy z jej erotycznymi problemami i trójkątem małżeńskim. Te względy wystarczyły dotychczas, żeby Bałuckiego pasować na piewcę swojskiej tężyzny i narodowej ideologii. Właśnie narodowi i konserwatywni krytycy i publicyści brali autora „Grubych ryb" w obronę przed atakami ówczesnych rewolucjonistów w sztuce, którzy byli bezkrytycznie wpatrzeni w zagraniczne wzory z Francji i Skandynawii. Dzisiaj najbardziej zachowawczy pisarze i krytycy zapisują na plus narodowej komedii cenną pozycję twórczości Bałuckiego.

Rzecz prosta i zupełnie nie ulegająca dyskusji, że ewentualne pochodzenie żydowskie w niczym nie podważa istotnych zasług i narodowych wartości dzieł Bałuckiego. Bezspornym jest faktem prawdziwa polskość tego autora, który pod każdym względem był złączony duszą i sercem z swym narodem, jego komedie są szczerym odzwierciedleniem środowiska, z którym autor był nierozerwalnie złączony. Wychowanie, język, umiłowanie historii narodu, świadomość autora, wreszcie instynkt i uczucia zadecydowały o łączności pisarza z narodem, której nikt nie zdoła rozdzielić. Dlatego w naszej opinii nie ma żadnego wpływu na przynależność artysty jego pochodzenie. Nie możemy sobie jednak odmówić satysfakcji, może nieco złośliwej, aby wyrządzić psikusa domorosłym rasistom i niedowarzonym krytykom i zapędzić ich w kozi róg przypomnieniem mało znanego i mało ważnego faktu, iż Michał Bałucki miał prawdopodobnie matkę Żydówkę. O ojcu jego nic nie wiemy, o matce zaś to, że prowadziła małą kawiarenkę mieszczańską w stylu dzisiejszych przedmiejskich barów, do której uczęszczała dość niewybredna klientela z nizin społecznych. Była Żydówką? Dowody? Ustne relacje Krakowian starszej daty (niestety, wielu z nich nie żyje: Dorowski, Bartoszewicz, częściowo rodzina Bałuckiego) notatki osobiste pisarza, autobiograficzne rękopisy nie drukowane, a przede wszystkim powieści. Trzeba wiedzieć, że Bałucki niewolniczo fotografował ze swego środowiska postaci i zdarzenia. Słynne typy Ciaputkiewicza, Pagatowicza i Wistowskiego w „Grubych rybach" mają swych bardzo bliskich antenatów w bywalcach kawiarnianych, przyjaciołach autora (Wojdałowicz i Feliksiewicz, aktorzy krakowscy i Feliks Szymański). Jeszcze dokładniej fotografował z natury zdarzenia i charaktery w swych powieściach. Znawca ówczesnych stosunków, który skonfrontuje życie Bałuckiego z takimi powieściami, jak „Błyszczące nędze", „Pańskie dziady", „Żydówka", „Za winy nie popełnione", „Sabina", „Z mętów społecznych" i in., niewątpliwie potrafi sobie odtworzyć szczegóły z wczesnej młodości Bałuckiego, który na łamach jednej z powieści skarży się na ciężką młodość i opisuje karczmę matki-Żydówki, która ze skąpstwa odmawiała synowi środków na studia.

Niestety — tylko tymi można obecnie służyć dowodami, bo wszyscy najbliżsi z otoczenia autora, ci, którzy informowali i ci, którzy dostarczali rękopisów są już na drugim świecie. Sprawa nie warta trudu, bo w niczym nie zmieni postaci rzeczy — ani jego zasług ani światłej i mądrej opinii — ale na upartego można by zdobyć szczegóły z powieści i z życia, gdyby się zachciało komuś grzebać w tych sprawach, dla niepoważnych celów. Dla naszego stanowiska może mieć najwyżej znaczenie stwierdzenie jeszcze jednego faktu udziału Żydów w dorobku kultury polskiej — wcale nie destruktywnego i wcale nie negatywnego.

PROSZKI OD BÓLU GŁOWY
DLA DOROSŁYCH
ZE ZNAKIEM FABR.
PSZCZÓŁKA
Stosuje się również przy PRZEZIĘBIENIU GRYPIE i KATARZE

KINO

PAN — „SKŁAMAŁAM".

Ten film jeszcze raz nas przekonał, że produkcja polska nie może zdobyć się na dobry dramat filmowy. Wyrobiliśmy sobie już pewien typ komedyjek, które jako tako wychodzą, a chociaż tak bardzo one się przejadły — wszelkie próby wykonania czegoś innego — kończą się takim rezultatem, jakim jest „Skłamałam". I trudno tu nawet powiedzieć, czy wina tu jest ustawicznego naszego braku scenariuszy, czy też samej reżyserii, bo temat tego filmu wydaje się być dobrym materiałem na interesujący scenariusz, a film zrobiony jest gładko i pod względem technicznym prawie bez zarzutu. Gra Smosarskiej i Boda dobra, a chwilami nawet interesująca. A mimo to film jest blady i płytki, jak zwykle polskie filmy, nie pogłębiony i zwulgaryzowany do ostateczności. Szyty grubymi ściegami, stara się wszystko ukazać w świetle najjaskrawszym, nie uznając żadnych półcieni, żadnych skrótów, ani niedomówień. Wystarczy przypomnieć sobie scenę z domu publicznego w filmie „Eskapada" i porównać ja z sceną taką w „Skłamałam", aby zdać sobie sprawę, co to znaczy kultura i subtelność filmowa. A tego najbardziej brak naszym twórcom filmowym. Mimo to film ma powodzenie — co bardzo smętnie świadczy o naszej publiczności kinowej.

T. S.

TEATR „NOWOŚCI", Bielańska 5

Tel. 340-55 dyr. 285-86 kasa

Żydowska
Scena Narodowa

Codziennie punkt. 8.45

WALKA O ZIEMIĘ

M. ROSTA

Reżyseria: SULAMIT BATDORY

Bilety w kasie Teatru od godz. 11—2 i od 5 po poł.

Prenumerata: miesięczna 1 zł. 20 gr., kwartalna 3 zł. 50 gr., za granicą kwartalna 5 zł.

Ceny ogłoszeń: za m/m za tekstem 80 gr., w tekście 1 zł. Strona zawiera 5 szpalt. Na stronę pierwszą ogłoszeń nie przyjmuje się.

Redaktor: Dr. M. KLEINBAUM

Wydawca: TOW. WYD. „STER" sp. z o. o.

Red.-odp.: A. KLARMAN.

„Drukarnia Lekarska", Warszawa, Leszno 56, tel. 11.98-75.